

Furia godna podziwu.  
„The Guardian”

# juli zeh orły i anioły



Zdjęcie autorki: © Wojtek Szadzik



**Juli Zeh** (ur. 1974) studiowała prawo europejskie i międzynarodowe, a także literaturę niemiecką w lipskim Literaturinstitut. Pracowała jako stażystka w siedzibie ONZ w Nowym Jorku oraz w Krakowie. Laureatka nagrody w dziedzinie eseistyki Uniwersytetu Humboldta w Berlinie (1999) oraz Caroline Schlegel Preis (2000). Powieść *Orły i anioły* (2001) została w Niemczech wyróżniona Deutscher Bücherpreis za debiut, a ponadto czterema nagrodami literackimi: im. Friedricha Hölderlina, im. Ernsta Tollera oraz Bremer i Rauriser Literaturpreis. Przetłumaczono ją na wiele języków, m.in. angielski, czeski, duński, francuski, hiszpański, rosyjski, turecki i włoski. Druga książka Zeh, relacja z podróży do Bośni *Die Stille ist ein Geräusch* (Cisza jest dźwiękiem, 2002), również odniosła wielki sukces.

juli zeh  
orty i anioły



W serii ukazały się:

António Lobo Antunes *Karawele wracają*

António Lobo Antunes *Podręcznik dla inkwizytorów*

Majgull Axelsson *Kwietniowa czarownica*

Majgull Axelsson *Daleko od Niflheimu*

Aharon Appelfeld *Badenheim 1939*

Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*

Robert Coover *Miasto widmo*

Jonathan Safran Foer *Wszystko jest iluminacją*

Michel Houellebecq *Cząstki elementarne*

Daniel Kehlmann *Beerholm przedstawia*

Imre Kertész *Los utracony*

Imre Kertész *Kadysz za nienarodzone dziecko*

Imre Kertész *Likwidacja*

Imre Kertész *Fiasko*

László Krasznahorkai *Szatańskie tango*

Juan José Millás *Porządek alfabetyczny*

Harry Mulisch *Procedura*

Wiktor Pielewin *Generation ,P'*

Wiktor Pielewin *Mały palec Buddy*

Michel Servin *Deo gratias*

Zeruya Shalev *Życie miłosne*

Jáchym Topol *Siostra*

Jáchym Topol *Nocna praca*

Oksana Zabuzko *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*

# juli zeh orty i anioły

Przełożyła  
Sława Lisiecka

Książka ukazała się dzięki pomocy finansowej  
Instytutu Goethego.

Tytuł oryginału: *Adler und Engel*

Copyright © Schöffling & Co. Verlagsbuchhandlung GmbH,  
Frankfurt am Main 2001

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2004  
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2004

Wydanie I  
Warszawa 2004

*dla m.*



Lipsk



## 1. Wieloryb

Nawet przez drewniane drzwi rozpoznaję ten głos, którego na poły obrażony ton brzmi zawsze tak, jakby właśnie nie spełniono jej najgorętszego życzenia. Przykładam oko do judasza i patrzę wprost w szerokokątnie wykrzywioną źrenicę nadnaturalnej wielkości, przypominającą oko wieloryba, który pewnie zlecił na klatce schodowej pod moimi drzwiami i usiłuje teraz zajrzeć do środka. Cofam się przerażony i naciskam klamkę.

Byłem przekonany, że jest brunetką. Ma jednak jasne włosy. Stoi na wycieraczce, lewe oko przymrużone, tułów lekko wychylony ku miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą, gdy drzwi były zamknięte, znajdowała się soczewka judasza. Dziewczyna prostuje się bez pośpiechu.

- O, kurde - mówię. - Wejdz. Co słychać?

- W porządku - odpowiada. - Masz może sok pomarańczowy?

Nie mam. Patrzy na mnie tak, jakby chciała, żebym natychmiast wybiegł i w supermarkecie na rogu kupił ze trzy butelki. Niewątpliwie wybrałbym sok niewłaściwej firmy, więc wysłałaby mnie ponownie. Widzę ją po raz pierwszy i o ile mogę się zorientować, kiedy spacerowym krokiem wchodzi do mojego mieszkania, nie ma na sobie przyczepionej żadnej instrukcji obsługi. Ona zadzwoniła, ja otworzyłem.

Trzy sekundy później siedzi przy kuchennym stole, czekając na jakiś gest z mojej strony. Paraliżuje mnie świadomość, że po pierwsze ta dziewczyna naprawdę istnieje, a po drugie, że faktycznie do mnie przysła. Nie zadaje sobie trudu, by przedstawić się imieniem czy nazwiskiem. Najwyraźniej wychodzi z założenia, iż właścicielką takiego głosu nie może być nikt inny, tylko ona. Ma rację, co mnie trochę irytuje mimo jej długich jasnych włosów, które odrzuca do tyłu, by opadły poza oparcie krzesła. Już po pierwszych dwu minutach zapominam, jak ją sobie właściwie wyobrażałem, słuchając wcześniej tej głupkowatej audycji. Chyba trochę jak Matę Hari. Wygląda stanowczo zbyt młodo, sprawia wrażenie własnej młodszej siostry. Kiedy jednak zaczyna opowiadać o nedorzecznych historyjkach telefonicznych rozmówców, w jej głosie pojawia się ten jedyny w swoim rodzaju ton osoby wiecznie obrażonej na nieprawości tego świata. Dzwonią do niej przede wszystkim mężczyźni. Słucha ich uważnie, mrużąc od czasu do czasu hmhm-hmhm, takie samo głębokie hmhm, z jakim matki kołysały ich niegdyś w ramionach. Niektórzy się rozklejają. Ja nie beczałem. Za to od samego początku zachwyca mnie jej niewiarygodny chłód. W pół słowa potrafi przerwać szlochającym rozmówcom, gdy tylko przekroczą limit trzech minut, przeznaczonych na wypowiedź. Ta dziewczyna jest chyba bardziej bezlitosna niż sama Święta Inkwizycja. Już kilka miesięcy wcześniej, na długo przedtem, nim sam zdecydowałem się opowiedzieć swoją nedorzeczną historyjkę, weszło mi w nawyk słuchanie jej audycji w środowe i niedzielne noce.

Prawdopodobnie w radiu notują numery telefonów, z których ludzie dzwonią. Ja podałem imię, zresztą nieprawdziwe. Ale znając numer, można na upartego odnaleźć czyjś adres. No i mam teraz za swoje.

Za oknem przyłgnął do nieba księżyc, czerwony, o wiele za duży, z poszarpanym brzegiem z jednego boku. Nie wygląda to na dobry znak, i naraz ogarnia mnie lęk. Już od tygodni się nie bałem, więc czemu nagle teraz. Zachowuję się śmiesznie. Pewnie powinienem coś podać.

- Sok pomarańczowy się skończył - mówię - ale może być jabłkowy.

- Nie - odpowiada - jeśli nie ma pomarańczowego, to dziękuję.

Patrzy na mnie z pogardą. Jestem Maks-pochłaniacz-soku-pomarańczowego i będę musiał się przyglądać, jak ona na moich oczach umiera z pragnienia. Wsypuję kawę do ekspresu, byle tylko czymś się zająć. Po chwili filiżanka stoi przed nią, dziewczyna wacha i krzywi się z odrazą, jakbym jej podał świńską krew.

- A propos krwi - mówi.

Nic nie mówiłem o krwi. Może jednak czytanie w myślach jest częścią jej zawodu.

- Gdzie to się stało?

Nikt nie ma prawa mnie o to pytać. Właściwie powinienem od razu chwycić ją za włosy i wywlec do przedpokoju, może nawet kopnąć porządnie w nogi, gdyby próbowała się podnieść. Albo wyrzucić za drzwi. Nie robię tego jednak. Zbyt długo z nikim nie gadałem, z wyjątkiem jakichś ludzi w supermarkecie i tej cioty, co to rozwozi pizzę. Zawsze przygląda się mojemu podbródkowi, by sprawdzić, czy już mi odrósł zarost, a kiedy szukając drobnych, wpuszczam faceta do kuchni, rozpląta się w zachwytach nad tym, iż zlewozmywak zwisa z sufitu na łańcuchach, a kuchenka jest wymurowana z piaskowca. Raz nawet, gdy na klatce

schodowej usiłował mnie złapać za dupę, odepchnąłem go tak gwałtownie, że zleciał na łeb na szyję ze schodów. Mimo to wraca, codziennie prócz niedziel, nie zliczę już, ile razy tu był.

- Huhu - mówi dziewczyna - gdzie to się stało?

Uśmiecha się. Ten uśmiech pasuje jak wygodne ubranie do jej głosu, który niesie się po mieszkaniu i zatrzymując się przy mnie, poklepuje po plecach. Teraz i ja mam nieprzepartą ochotę rozbeczeć się. Tak samo jak ci inni faceci. Ale nie. Nigdy więcej. Przenigdy.

Oczywiście, że wyłem. Dwa dni i dwie noce bez przerwy, bez snu, nie podnosząc się z podłogi w pokoju. Co kilka godzin, gdy oczy miałem już tak suche, że przypominały nakłute bąble po oparzeniach, wypijałem łyk wody z napełnionej do połowy butelki, która wałała się gdzieś tam i z której musiała pić Jessie, zanim to zrobiła. Wtedy, przez telefon, słyszałem nawet, jak przetyka, słyszałem, jak woda właśnie z tej butelki przeciska się jej przez krtań.

Każda odrobina płynu pomagała mi wydobywać z siebie nowe łzy, a kiedy wypilem wszystko do dna, miałem absolutną pewność, że zaraz oślepnę. Cieszyła mnie ta myśl. I tak nie zamierzałem nigdy więcej otwierać oczu. Byłem już na pół głuchy, lewą rękę nieustannie przyciskałem do lewego ucha, wiedząc, że strzępki pękniętej błony bębenkowej powiewają w nim niczym firanki w otwartym oknie. Ten stan był na swój sposób przyjemny. Płakałem nadal bez śladu łez w oczach, moje ciało leżało na posadzce, najpierw skurczone i twarde jak kłoda drewna, później zwiotczałe i bezkształtne niczym rzucone na ziemię ubranie. Miałem nadzieję, że umrę sam, z własnej woli. Ale w jakimś momencie zasnąłem. Gdy się znowu, w jakimś momencie, obudzi-

łem, powlokłem się po omacku do lodówki, by wyjąć z zamrażalnika działkę koki, a ponieważ mój nos sam w sobie był jedną stwardniałą grudą pozbawioną otworów, otworzyłem usta, wrzuciłem do nich koks i szybko połknąłem, nim gardło tak zdrewniało, że nie mogłem już niczego przełknąć. Później wyszedłem z domu, zostawiwszy otwarte drzwi. Było to ze dwa miesiące temu. Od tej pory nie uroniłem ani jednej łzy, nie czułem nawet takiej potrzeby. Do teraz. Dziewczyna z radia ma niewątpliwie jakiś szczególny dar. Przez chwilę myślę, że wszystko będzie dobrze.

- W gabinecie - mówię.

Zerka ukosem przez otwarte drzwi kuchenne na przedpokój. Jedno z dwu skrzydeł drzwi wiodących do gabinetu jest zabite deskami. Jeszcze przez chwilę patrzy w tamtym kierunku i bezwiednie wypija pierwszy łyk kawy. Mija pół wieczności; tymczasem dziewczyna udowadnia, że ma wystarczająco drobne palce, by aż trzy przesunąć przez ucho filiżanki.

- Jak ją poznałeś? - pyta.

- Znalazłem ją w ruinach zniszczonego miasta - odpowiadam.

Kiedy ona nieoczekiwanie patrzy mi prosto w twarz, zaczynam rozumieć, co niepokoi mnie w jej oczach: są niebieskie, ale jedno jak woda, a drugie bardziej jak niebo.

- Jesteś trochę śmieszny - zauważa.

- Ty w ogóle nie masz pojęcia, co się wyprawia na tym świecie - mówię - a gdybym ci opowiedział, i tak byś nie uwierzyła.

- Nie - odpowiada ironicznie - w końcu żyję dopiero od dwudziestu trzech lat.

Teraz najwyraźniej poinformowała mnie o swoim wieku. Jest dziesięć lat młodsza ode mnie. Jeśli to w ogóle prawda.

- Ty żyjesz w innych sferach - stwierdzam. - Nie jesteś na bieżąco.

- Może powinieneś zacząć o tym mówić - zachęca.

A ciebie, myślę, ktoś chyba powinien rzucić na ławę dupą do góry i porządnie wydymać. Byle nie ja. Niech się tym zajmie kto inny.

- Wyjaśnię ci to - mówię.

Bawi się młynkiem do pieprzu. Prawdopodobnie wyobraża sobie, że jest to mikrofon, bo bez niego nie umie słuchać. Przychodzi mi jednak na myśl, iż przecież radiowcy pracują z mikrofonem przypiętym do słuchawek, który wcale nie przypomina młynka do pieprzu.

- Czy widzisz, że większa część Europy jest spustoszona - pytam - a ci, którzy ocaleli, to ludzie oszukani, zhańbieni i zapomniani?

- Nie - odpowiada.

Mija druga połowa wieczności. Równie dobrze mogliśmy tak siedzieć osobno, każde we własnej kuchni, w zadumie bądź też z całkowitą pustką w głowie, i wiercić wzrokiem dziury w powietrzu, mogliśmy siedzieć w dokładnie takich samych pozycjach, tyle że w różnych miejscach. Wtedy łączyłoby nas ze sobą równie mało co teraz. Dziewczyna stara się przesunąć jak najwięcej palców przez ucho filiżanki, ja natomiast na obrusie w kostkę kreślę łyżeczką plany ucieczki.

- Jak ona się w ogóle nazywała?

To pytanie mnie przeraża, chociaż cały czas na nie czekałem.

- Gównno cię to obchodzi - mówię.

- Pokaż mi pokój, w którym to się stało.

- Gównno ci pokażę.

- Proszę - nie ustępuje.

- Nigdy więcej nie przestąpię jego progu.

- Nigdy więcej nie zamierzasz wejść do pokoju w swoim własnym mieszkaniu? - pyta. - I to w trzypokojowym?

- Zamknij mordę! - wrzeszczę.

Otwartą dłońią uderzam w stół, aż łyżeczka podskakuje i spada na podłogę.

- Wobec tego zostaną ci tylko dwa - mówi.

- Jeden - szepczę - to się stało w pokoju przejściowym.

- Powinieneś się nad tym zastanowić.

Unoszę się na krześle, aby wziąć większy zamach, i wierzchem ręki uderzam ją w usta. Głowa dziewczyny odskakuje do tyłu, a warkocz, który właśnie przed chwilą luźno związała, rozplątuje się, włosy się rozwiewają, opadając bezładnie na twarz i ramiona. Świetnie by to wyglądało w zwolnionym tempie. Jak reklama szamponu. Wstaję i podchodzę do okna, dając dziewczynie czas na uporządkowanie fryzury. W prawym dolnym rogu tkwią uwięzione w tiulowej pajęczynie trzy zdechłe biedronki, wszystkie z jednakową liczbą kropeczek na chitynowych pancerzykach. Zadaję sobie pytanie, czy jakikolwiek pająk na świecie jest w stanie dotrzeć do ich miękkich jadalnych wnętrzności.

Przy kolejnej wymianie spojrzeń dostrzegam, że na twarzy dziewczyny z radia wystąpiły plamy w miejscach, w które wcale nie uderzyłem, a w prawym oku, w tym, co to jest jak woda, zmieszało się z błękitem nieco czerwieni. Wygląda ono teraz niczym jezioro, na którym unosi się krwawiący człowiek. To mi przypomina o księżycu, spoglądam więc za okno. Wyleczył się tymczasem z krwotoku, jest jasnopomarańczowy, mniejszy i ma wyrazistsze kontury. Wspiał się wysoko, ku gwiazdom.

W następnym zdaniu, które wypowiada dziewczyna z radia, pojawia się określenie „praca dyplomowa”. Przez

moment zastanawiam się, czyby jej znów nie przywalić, ale zupełnie mnie to nie rajcuje. Siadam z powrotem.

- Jeszcze trochę kawy? - pytam.

- Soku pomarańczowego - skamle.

Ton dziewczyny z radia zanadto przypomina mi Jessie, która też zawsze skamlała, kiedy ktoś nie spełniał jej zachcianek. Aby uwolnić się od tej myśli, koncentruję się na własnym gardle. Krtań ma w sobie coś z poczekalni w gabinecie internisty. Jest sterylna. Podniebienie, język, wargi zdrętwiały, przy następnych słowach zacznę bełkotać, mam nadzieję, że z ust nie pocieknie mi ślina. Wszystko to jest boskie. Wszystko staje się coraz bardziej boskie, wszystko i tak jest tylko grą, wszystko jest wszystkim. A wspomnienia są niczym migawki w telewizji.

Uśmiecham się do dziewczyny siedzącej przy moim stole kuchennym, jest to szczery uśmiech, więc kiedy z powodu napuchniętej wargi leciutko go odwzajemnia, zaczynam promienieć. Jak tysiącwatowa żarówka, jak halogen. Bosko. Jestem boski. Zastanawiam się, czyby nie nazywać dziewczyny z radia *baby*.

- Co powiedziałaś przed chwilą, *baby*? - pytam.

- Soku pomarańczowego - powtarza.

- Nie - mówię uprzejmie - jeszcze wcześniej.

- Że stanowiłbyś dobry temat mojej pracy dyplomowej.

- O - zauważam - więc nie tylko pracujesz, zdobywasz też wykształcenie. Sądzę, że to boskie. Masz papierosy?

Staję się rozmowny. Przygląda mi się nieufnie.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Nie - mówię - naprawdę uważam, że to rewelacyjne. Studiowanie jest super. Co studiujesz?

Z zainteresowaniem patrzę na *baby*. Wargę nadal puchnie, do twarzy jej z tym, moje usta też chyba są nabrzmiałe, w każdym razie obwisły, co wymacuję koniuszkami palców.

Całkiem zdrętwiały. Kiedy mówię, dolna warga ciągle dostaje mi się między zęby; ma posmak kawałka gumki „myszki” i muszę ją wypluwać. Dziewczyna i ja mierzymy się wzrokiem.

- Socjologię i psychologię - mówi.

- Jasne - odpowiadam - bosko. To pasuje do twojej pracy.

- Pójdę już.

Wstaje.

- Nie nie nie nie!

Łapię ją, usiłując z powrotem wcisnąć w krzesło. Wymyka mi się. Chcę mówić.

- Nie idź - proszę.

Tysiącwatowy uśmiech oślepia dziewczynę, ale ona mimo to cofa się coraz bardziej. Już z przedpokoju rzuca mi paczkę papierosów.

- Zapalmy razem - wołam.

- Nie palę - odpowiada. - Fajki należą do wyposażenia. Na wypadek takich wizyt jak ta.

Bierze żakiet, a ja słyszę swój głos, proszący, żeby została, strzępię sobie język, kłapię z zawrotną prędkością, mimo na pół sparaliżowanych narządów mowy. Muszę z kimś pogadać. Jest we mnie tyle cudownych, promiennych słów, potrzebują adresata. Czuję się jak naczynie, w którym chaotycznie wirują robaczki świętojańskie. Pragnę nimi kogoś obdarować. Wykończę się, jeśli dziewczyna z radia sobie pójdzie.

- Cześć - mówi - przyjdę jeszcze.

Drzwi zamykają się za nią z głośnym trzaskiem, a ja padam na zimną posadzkę i zaczynam śpiewać hymn narodowy. Nie przychodzi mi do głowy żadna inna piosenka.

## 2. „Tygrysy” (Jeden)

Ze snu wyrywa mnie dźwięk budzika. Palce mam zacisnięte na najniższej z desek przybitych w poprzek do futryny drzwi. Narastający elektroniczny sygnał przenika przez ściany mieszkania, jakby były z papieru, powtarza się to każdego ranka i wieczora, regularnie o siódmej, w porze, o której obudził mnie i Jessie ostatniego dnia jej życia. Dźwięk dochodzi od strony kuchni, słycać go w pokoju, a najlepiej tutaj, w korytarzu. Dziękuję Bogu, że przypadkowo kupiłem wtedy Voice Control.

- Uspokój się! - wołam.

A ponieważ nie reaguje, chrząkam i podnosząc lekko wzrok, krzyczę znowu, możliwie najgłośniejsz.

- Stul pysk!

Milknie. Jeszcze czterokrotnie będę musiał wrzasnąć, czterokrotnie walnąć pięściami lub czołem w zabite deskami drzwi, i tak co trzy minuty. Jeżeli coś w ogóle mnie cieszy, to myśl o chwili, gdy jego bateria się wyczerpie.

Zaschnięty pot pozostawił mi na czole i górnej wardze szorstką skorupę soli. Kiedy pocieram palcem, spadają drobne białe płatki. Na podłodze, tuż przed moimi oczami, powstaje mikrokosmos, śnieżna kraina. Klębek kurzu jest lasem, a mała kałużka śliny, która wyciekła z ust - jeziorem. Pada śnieg. Pocieram nadal, aż nic więcej się już nie złuszcza. Zdmuchuję resztki i wstaję.

Przedpokój jest pusty i długi jak wagon kolejowy; obok drzwi wejściowych znajduje się jedynie aluminiowa szafka pod telefon i wąski pęczkowany chodnik, który prosto jak strzała biegnie w ich kierunku, jakby bez jego pomocy można było zgubić drogę do wyjścia. Na szafce leży bezprzewodowy telefon i wstążka do włosów, którą zostawiła dziewczyna z radia. Te przedmioty w ogóle do siebie nie pasują. Biorę wstążkę ostrożnie w dwa palce i upuszczam za szafkę. Kiedy dotykam telefonu, jeżą mi się włoski na przedramionach. Pewnie lepił się od krwi i rozprysniętego mózgu, spytała dziewczyna z radia, gdy do niej zadzwoniłem. Jej imię całkiem wyleciało mi z głowy, ale teraz je sobie przypomniałem: Clara.

W każdym razie tak się przedstawia w swojej audycji.

Słuchawkę oczyścił ktoś inny i nawet sam się zdziwiłem, z jaką łatwością znów zacząłem telefonować. Jakoś udało się temu przedmiotowi zachować neutralność. Stałem w pokoju, trzymając go w ręce i nie mogąc odwrócić wzroku. Dość często zdarza mi się zastygać w bezruchu. Wszystko rozmywa się wtedy przed oczami, a w głowie jawią się różne obrazy i odzywają głosy. To taki mój sposób na przywoływanie wspomnień. Tamtej nocy moje spojrzenie znieruchomiało w próżni, aż wreszcie wyłonił się z niej telefon. Numer audycji Clary znam na pamięć, podają go co dziesięć minut w charakterze przerywnika, wyśpiewywanego na łatwą do zapamiętania melodię. Zdawało mi się, że słyszę ją, wstukując poszczególne cyfry, przypominało to więc raczej współśpiewanie niż wybieranie numeru. Przycisnąłem aparat do zdrowego ucha. Chociaż radio nie było włączone, miałem pewność, że Clara jest na fonii. Działo się to w środę między dwunastą a pierwszą w nocy. Nie do końca wiedziałem, co robię. Gdy ktoś odebrał, okropnie się przeraziłem. A mimo



- To jakaś bzdura - zaproponowałem - przestań o tym myśleć.

- Przyjdzieeeeeesz czy nieeee?

- Oczywiście, że przyjdę - powiedziałem - nie świruj.

- Nie świruję - odrzekła.

I wtedy padł strzał. W pierwszej chwili wcale nie odebrałem go jako odgłosu, wbił mi się w lewe ucho niczym nóż, ból był ostry i gwałtowny, później zaczęło świszzczeć. Zachowałem się na tyle przytomnie, żeby błyskawicznie przełożyć słuchawkę do drugiego ucha, zdołałem więc jeszcze usłyszeć głuchy łoskot ciała, a za moment głośny klekot, z jakim aparat, który moja dziewczyna jeszcze przed chwilą trzymała w ręce, sunął teraz po podłodze. Potem zapadła cisza. Połączenie nie zostało przerwane, ale było cicho. Dochodziło mnie tylko cichutkie skomlenie psa. Kilka razy zawołałem ją po imieniu. Bez większej nadziei. Niekiedy mówią, że szok odbiera człowiekowi zdolność rozumienia czegokolwiek. Ja jednak natychmiast wszystko wiedziałem. Wiedziałem, że jest za późno. Nie wiedziałem tylko, dlaczego to zrobiła.

Znalazłem ją w domu. Na telefonie nie było śladu zadrapań.

- I z tego aparatu teraz do mnie dzwonisz - spytała Clara - pewnie lepił się od krwi i rozprysniętego mózgu?

Jak na nią była wyraźnie zdenerwowana.

- Zgadza się - powiedziałem. - Strzeliła sobie w ucho.

A potem odłożyłem słuchawkę, żeby zwymiotować.

Budzik pika, więc wrzeszczę na niego. Skoro wstążka do włosów zniknęła już za szafką, ciskam o ziemię telefonem, który ślizga się po posadzce aż do kuchni, a bateria i plastikowa obudowa lecą każda w inną stronę. Często zdarza mi

się rzucać nim w ten sposób. Nie psuje się. Wyskakuje tylko bateria, choć i to nie zawsze.

Podchodzę do lodówki i wciągam kokę tak gwałtownie, że aż krew idzie mi z nosa. Ścieka po brodzie na kołnierzyk koszuli. Nie wycieram jej. Znowu mijają trzy minuty, krzyczę w stronę budzika, tym razem z pokoju, gdzie rzucam się na materac i z głową wystającą za poduszkę nasłuchuję już tylko świstów w lewym uchu, sygnalizujących, że Jessie o mnie myśli.

Kalendarz ścienny i ręczny zegarek pozwalają mi połączyć się w czasie. Z moich obliczeń wynika, że jest poniedziałek, początek miesiąca, chociaż myślałem, iż do tego jeszcze daleko. W takim razie to już tylko kwestia dni, a nawet godzin, by zadzwonili z firmy. I wtedy wyjdzie na jaw, że nie daję sobie rady. Że bez Jessie nie ma sensu praca, zarabianie pieniędzy ani normalne życie. Wówczas, kiedy zamieszkała ze mną, myślałem, iż to Z NIAŁ nie da się żyć normalnie. Oto ironia losu, zmuszam się do śmiechu:

- Cha cha cha.

Kiedy dziewczyna z radia znów się u mnie zjawia, tym razem po swoją wstążkę do włosów, podejmuję decyzję. Nie będę próbował żyć od nowa.

Wprawdzie nie mam dość wyobraźni, by zrobić to co Jessie, ale mogę pozostawić sprawy naturalnemu biegowi, wtedy i tak nie pociągnę zbyt długo. Ta myśl mnie uspokaja. Witam Clarę z drwiącym uśmieszkiem na spierzchniętych wargach.

- Twoja pieprzona wstążka do włosów - mówię - wyfrunęła przez okno i zawisła na tylnej osi jakiejś ciężarówki,

teraz wloką ją do Bosforu i rozpada się na poszczególne włókienka, więc najlepiej będzie, jak się tam wybierzesz, pozbierasz je i wydziergasz sobie nową. Przyjdź, kiedy się już z tym uporasz.

- Ale długie zdania potrafisz budować - szydzi.

Marszowym krokiem przechodzi obok mnie do kuchni i siada na tym samym miejscu co poprzednio. Ręce kładzie płasko na stole.

- Sok pomarańczowy - mówi.

Tym razem jakiś mam, ale zastanawiam się, czy nie powinienem skłamać. To jednak dla mnie zbyt duży wysiłek. Napełniam szklankę i stawiam ją przed Clarą, która podnosi ku mnie oczy z wyrazem bezradnej wdzięczności. Nachodzi mnie myśl, żeby odstąpić od powziętej decyzji i zrobić wreszcie coś konkretnego, na przykład wsadzić głowę do kuchenki gazowej.

- Wcale nie idzie mi o tę zafajdaną wstążkę - mówi.

Wlewa sok ze szklanki z powrotem do butelki, nie rozlewając ani kropli. Pije z gwinta i zostawia odrobinę na dnie.

- Chciałam ci coś powiedzieć.

- No to nawijaj.

Otrzymałem właśnie nową dostawę, lodówka jest pełna, więc mogę słuchać wszystko jedno czego.

- Śniłeś mi się - mówi - ubiegłej nocy.

Kiwam głową i z uśmiechem wyjmuję z lodówki kolejną butelkę soku pomarańczowego dla niej, a działkę koki dla siebie.

- Reżyserowałeś film - opowiada - właśnie skończyłeś zdjęcia. I chciałeś mi je pokazać. Chodziło o pewną kobietę zdradzaną przez męża.

- Oryginalne - mówię chrapliwie.

Z odchylną do tyłu głową pukam się po nozdrzach.

- Była w ostatnim miesiącu ciąży.

- Opowiadaj dalej.

Idę do pokoju poszukać papierosów. Gdy wracam, słyszę, że Clara dalej ciągnie swoją opowieść.

- Fotel ginekologiczny - mówi właśnie. - Lekarz manipuluje kleszczami porodowymi. Ty twierdzisz, że to twoja ulubiona scena. Kobieta prze, wije się z bólu i krzyczy, aż wreszcie lekarz wyciąga rodzącej spomiędzy nóg coś, co następnie podsuwa jej pod oczy. Jest to wielkoformatowa fotografia noworodka, cała pomięta i zaplamiona krwią. Dookoła brzęczy rój much.

Przypomniawszy sobie, że Clara nie pali, wydmuchuję jej dym z papierosa prosto w twarz. Ale jej to najwyraźniej nie przeszkadza. Otwiera drugą butelkę soku.

- Jak ci się podoba? - pyta.

- Nieważne.

- To był przecież twój głupi film - mówi. - Sama nie wymyśliłabym czegoś tak chorego.

- Może właśnie dlatego jest to nieważne.

- W każdym razie ten sen podsunął mi odpowiedź na pytanie, które dręczy mnie już od tygodnia - dodaje.

- I co? - pytam.

- Chciałam się dowiedzieć - mówi - dlaczego zadzwoniłam do mojej audycji. Teraz to jasne. Żeby mi opowiedzieć całą tę historię.

Przez chwilę panuje milczenie. Potem się podnoszę. Najwyższy czas znów jej przyłożyć, tym razem jednak przestanę bić dopiero, gdy zwali się na ziemię.

Przerywa mi telefon. Właściwie jestem bardzo zadowolony. Clara ani pisnęła, co mnie tak wzruszyło, że nie potrafię się porządnie zamachnąć. Poza tym jest upalnie, jak dotąd najgorętszy dzień w tym roku. Kiedy szukam po kątach tego przekłętego telefonu, Clara doczołguje się do przedpokoju

i opiera o ścianę. Znajduję telefon wśród prześcieradeł na materacu. Dyszę i pot się ze mnie leje. To dzwonienie działa mi na nerwy. Tak bardzo, że odbieram telefon, nie zastanawiając się nawet, kto to w ogóle może być.

- Rufus chce z panem mówić - odzywa się sekretarka.

Dzwonią z mojej firmy. Nie z małej filii kancelarii tu w Lipsku, lecz z biura wielkiego wodza w Wiedniu. Osuwam się na materac. Zanim sekretarka mnie przełączy, mam kilka sekund na złapanie tchu.

- Cholera - szepczę - cholera.

- Maeks - mówi Rufus.

Jest Amerykaninem, więc nigdy bym nie śmiał nakłaniać go do wymawiania mojego imienia inaczej niż „Maeks”. Kiedy odnosiłem pierwsze sukcesy w jego kancelarii, nazywał mnie czasem „Maeks the maeksimal”. Rufus to jeden z najwybitniejszych specjalistów od prawa europejskiego i międzynarodowego, ubóstwiałem go już wcześniej, jeszcze kiedy słuchałem jego gościnnych wykładów na uniwersytecie. Nazajutrz po moim ostatnim, ustnym egzaminie państwowym drugiego stopnia zadzwonił telefon i rzeczowy kobiecy głos zaproponował mi pracę. U Rufusa w Wiedniu. Jako miesięczną pensję owa dama wymieniła na początek kwotę, za którą wcześniej żyłem przez pół roku. Pracowałbym dla niego choćby za wikt i mieszkanie. To geniusz. I nie ma zielonego pojęcia, co się ze mną dzieje.

- Pan Rufus - mówię.

- Co u pana słyszać? - pyta.

Jego wiedeński dialekt z amerykańskim akcentem brzmi jak zwykle miło. Ci, co go nie znają, lubią się z niego podśmiewać.

- Świetnie - zapewniam.

- W takim razie dziwię się, że nie ma pana w pracy - mówi.

- No dobrze, czuję się podle.

- Tak też myślałem - odpowiada. - Doszły mnie słuchy o jakimś nieszczęśliwym wypadku, ale zbyt słabo się orientuję, o co chodzi, żeby składać panu kondolencje.

- Proszę się nie wysilać - mówię.

- Maeks - kontynuuje - pan jest przeświadczony, że firma pana potrzebuje. Ale ja dzwonię, by przypomnieć, że to PAN potrzebuje FIRMY.

Pogłos, z jakim docierają do mnie słowa Rufusa, każe mi się domyślać, iż szef znajduje się w sali konferencyjnej, pomieszczeniu wielkości całego mojego mieszkania, dwa razy wyższym i z oknami sięgającymi od podłogi do sufitu. Kiedy zobaczyłem tę salę po raz pierwszy, pomyślałem sobie, że Rufus jest człowiekiem, który już wszystko w życiu osiągnął, ja zaś kimś, kto dopiero wszystko osiągnie.

- Bardzo mi przykro - mówię - ale jest pan w błędzie.

- Nie - zaprzecza - sam dobrze pan o tym wie. Zna pan kojące działanie systemu prawnego, Maeks. Niech pan z niego skorzysta dla własnego dobra.

- Panie Rufusie, ja jestem narkomanem.

Przez moment połączenie wygląda na przerwane. Po chwili jednak Rufus śmieje się donośnie.

- Maeks, wie pan przecież, że trzydzieści procent wszystkich godnych podziwu prawników to narkomani. A sto procent z nich pracuje u nas.

Ten dowcip wydaje mi się zbyt arytmetyczny, bym pojął go wystarczająco szybko. Oczywiście, wiem, na czym to polega. Wszyscy przeżywają stresy. Ale nie myślałem, że on to rozumie.

- Nie mogę wrócić - mówię. - Już zrezygnowałem.

- Z czego pan zrezygnował? - pyta.

- Z podejmowania jakichkolwiek działań przeciw żonie na wszystkich murach i przęsłach mostów - odpowiadam.

- Maeks - pyta Rufus - zaczął pan pisać wiersze?

- Nie.

- Wie pan - mówi - że są całe rzesze młodych rabulistów, którzy wszystko by oddali za pańskie stanowisko?

- Wiem.

- A czy wie pan także - ciągnie dalej - iż niewielu ludziom się zdarza, by po przeszło dwu miesiącach nieobecności w firmie zachęcano ich do pozostania?

- To - mówię - może przytrafić się wyłącznie komuś, kto pracuje dla pana.

W mojej wyobraźni Rufus staje się jeszcze drobniejszy, ma skórę jeszcze bardziej napiętą i opaloną niż w rzeczywistości. Jego gabinet w Wiedniu jest najmniejszy ze wszystkich i jako jedyny umeblowany antykami, a nie wyposażony w filigranowe konstrukcje drewniane w stylu japońskim. Oczyma duszy widzę, jak Rufus, chcąc dostać się do górnej półki z dokumentami NATO z wczesnych lat pięćdziesiątych, ustawia w swoim biurze podest z dziesięciu jaskrawoczerwonych, opasłych ksiąg prawniczych. To naprawdę fenomen. W drzwiach mojego pokoju pojawia się na czworakach dziewczyna z radia. Policzki ma trochę wilgotne, poza tym prawie nic po niej nie widać. Siada w należytej odległości ode mnie. Patrzenie na nią dobrze mi robi.

- Poza tym - mówi Rufus - zarabia pan krocie.

- O tak - odpowiadam.

- Jest pan pewien - pyta Rufus - że nie ma pan ambicji poetyckich? Z Niemcami nigdy nic nie wiadomo.

- Jestem całkiem pewien - odpowiadam, uśmiechając się.

- A zatem prosi mnie pan o wymówienie?

Obaj wiemy, o co chodzi. Oddycham głęboko.

- Proszę o wymówienie z winy pracodawcy, połączone z ogromną odprawą.

- Przepracował pan u nas niewiele więcej niż trzy lata - mówi.

Nie odpowiadam. Wiem, że w tym momencie Rufus walczy ze sobą. Nawet jeśli mnie lubi, posunąłem się za daleko.

- Cała reszta na piśmie - kończy wreszcie. - Powodzenia, Maeks.

- Powodzenia, panie Rufusie - mówię. - Jest pan...

Odłożył słuchawkę. Wypuszczam telefon z ręki i postanawiam ostatecznie zniszczyć to urządzenie. Już mi niepotrzebne. Upycham pościel pod karkiem, szukając chłodnego miejsca, by wtulić w nie twarz.

- No cóż - mówi cicho dziewczyna z radia - wobec tego masz teraz dużo czasu.

### 3. Otwór

Choć wystawiłem ją za drzwi, po dziesięciu minutach dzwonek rozlega się ponownie.

- Zanim sobie pójde - mówi - chciałabym odebrać swoją wstążkę.

Jestem zmęczony. Clara wnosi ze sobą do środka zimny powiew powietrza z klatki schodowej. Włosy opadają jej na twarz. Pokazuję na aluminiową szafkę i idę do kuchni. Słyszę, jak dziewczyna odsuwa mebel na bok. Mija sporo czasu, zanim się znów odzywa.

- Czy to właściwie normalne - pyta - że masz rozpiętą podłogę?

Zaglądam do przedpokoju. Szafka pod telefon jest odsunięta od ściany, Clara pochyła się nad podłogą. Znalazła wstążkę i znów ma włosy związane w koński ogon. Początkowo wcale nie zamierzam tam wchodzić, to całkiem jasne, że ona wykorzystuje najdrobniejszą okazję, by o kilka minut dłużej móc działać mi na nerwy.

Potem jednak podchodzę bliżej.

Stoimy obok siebie jak przyjaciele i przyglądamy się otworowi. Ma kształt prostokąta i po partacku wycięte krawędzie, co sprawia wrażenie, jakby jakieś dziecko bawiło się tu laubzegą. W jednym rogu ktoś nawiercił kilka dziurek,

które musiały stanowić punkt wyjścia do piłowania. Na dwu krótszych końcach są od dołu przyklejone do otworu dwa wąskie paski tektury, za pomocą których można unieść klapę, kawałek deski długości około czterdziestu centymetrów, jak to teraz zrobiła Clara. Musi mieć silne paznokcie u kciuków. Jessie też takie miała. Nerwowo usiłuję sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni odsuwaliśmy tę szafkę. Nie pamiętam jednak, abyśmy to w ogóle robili. Może więc skrytka istnieje tam już od chwili naszego wprowadzenia się do tego mieszkania, czyli przynajmniej od dwu lat? Ten otwór każe mi myśleć o wyjątkowej naiwności Jessie – wierze w to, że coś tak źle ukrytego nie zostanie znalezione. Naiwności, która do tego stopnia deformuje przypadek, że wygląda na wyrafinowanie.

Byłem pewien, iż wszystkie rzeczy należące do Jessie udało mi się zamknąć w obydwu pokojach, wyplenić bez śladu. Teraz jednak znalazło się tu coś, co się z nią wiąże i po pierwsze jest dla niej nieznośnie typowe, a po drugie nie można tego usunąć. Otwór. Ból okazuje się tak silny, że muszę się odwrócić. Daję ten otwór w darze dziewczynie z radia.

Wracam do pokoju i zaczynam zbierać z podłogi zmięte chusteczki do nosa oraz niedopałki papierosów. Clara wyciąga z otworu coś, co wciąż szeleści i szeleści. Otworzyłam okno, wyrzucam pety i chusteczki, a potem wychyliłam się głęboko, by nie słyszeć niczego poza ulicznym zgiełkiem. Kiedy przejeżdża tramwaj albo kolejna ciężarówka z klekoczącą przyczepą, parapet drży, a ja wraz z nim, więc rozkoszuję się tym, że przez kilka chwil nie muszę czuć własnego dygotu. Na dworze jest jeszcze goręcej niż w mieszkaniu. Oblizuję usta, po czym wsuwam między nie papierosa bez filtra, ale kiedy się już pali i chcę go wyjąć, przykleja mi się

do dolnej wargi. Parzę sobie kostki palców żarem, odrywam papierosa od ust, na bibułce zostaje maleńki skrawek skóry. Dym kłuje w płuca, jakby ktoś go sztucznie podgrzewał, mój własny pot piecze mnie w oczy. Na dole dwie skąpo ubrane trzynastolatki obserwują ścielący się na chodniku dywan z chusteczek do nosa oraz petów i zadzierają głowy w górę. Spluwam. Jest upalnie.

Sylweta, którą tworzą kominy, wykusze i anteny po drugiej stronie ulicy z prześwitującymi przez nie pojedynczymi światłami, mogłaby być zarysem oceanicznego parowca. Gdzieś w dali słońce rozsiewa czerwień po nieboskłonie, jakby to ono krwawiło z nosa, a nie ja. Niebawem świat odchyli głowę i przyłoży sobie do karku noc niczym chłodny okład. Uderzam się lekko po twarzy, to w prawy, to w lewy policzek. Rozświetlone tramwaje wiją się między rzędami domów. Może zasnąłem, leżąc brzuchem na parapecie.

Dziewczyna z radia siedzi w kucki na podłodze w przedpokoju. Myślałem, że już dawno sobie poszła. Dopiero po chwili dostrzegam stojącą ukosem szafkę pod telefon i ohydą dziurę. Clara układa banknoty w stosy, w rzędkach po dziesięć, pokrywają pół przedpokoju. Odwraca się, słysząc moje kroki.

- Właśnie skończyłam - mówi. - Pięćset tysięcy szylingów, pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a do tego jeszcze sto trzydzieści tysięcy marek. Ile to razem?

Czuję, że do oczu napływają mi łzy.

- Szylingi dzielone przez siedem, policz sama.

- Prawie jedna trzecia miliona marek - mówi. - Wiesz, skąd ta forsa się tu wzięła?

- Nie mam pojęcia - szepczę.

- Musiała należeć do twojej dziewczyny.

- Bardzo sprytne - mówię - a teraz posłuchaj uważnie. Chcę zostać sam. Zabieraj ten szmal i znikaj. Baw się dobrze.

- To niby taki prezent? - pyta.

- Tak - odpowiadam.

Dziewczyna bez słowa upycha zwitki pieniędzy z powrotem w plastikowej torebce. Zakrywa je wyciętą deską i stawia na niej szafkę. Chwilę później drzwi się za Clarą zamykają.

Wracam do okna. Tym razem siadam na parapecie. Księżyc wspina się na niebo, blady i okrągły jak aspiryna.

Budzi mnie uliczny zgiełk. Zapewne w północy te odgłosy docierały do mnie już od dłuższej chwili. W pustym żołądku adrenalina wywołuje niewielkie skurcze, które łaskoczą przeponę, wprawiając ją w drżenie. Reaguję zawsze w ten sposób, kiedy moje zmysły zaczynają odbierać z zewnątrz sygnały codziennego życia. Okno jest otwarte, zasłony rozsunięte, prawdopodobnie sen zaskoczył mnie na parapecie i tylko wyjątkowy pech sprawił, iż przechyliłem się w stronę mieszkania i spadłem na materac, a nie na ulicę. Mimo zamkniętych oczu wiem, że jest jasno, pogoda piękna aż do obrzydzenia. Upał. Dzieci biegną do szkoły, słyszę ich nawoływania i głosy rodziców pod moim oknem. Samochody mijają mój dom falami, wszyscy są w drodze do pracy, a może do lekarza. Od mnóstwa zaobserwowanych aut, które przejechały zaledwie w ciągu kwadransa, dostaję zawrotów głowy. Licząc z grubsza, daje to w ciągu całego dnia przytłaczającą liczbę ludzkich zajęć, czynności zawodowych, zakupów i wędrówek do szkoły, co wbija mnie w ziemię, wysysa, jakby cała zapobiegliwość i zapał na dworze

syciły się energią pozyskiwaną wyłącznie z rozpadu mojego ducha i ciała.

Nie ma ucieczki od tych odgłosów z ulicy. Choćbym zdrowe ucho zagrzebał w poduszce, a chore skierował ku górze; choćbym zamknął okna, zasunął zasłony i spiętrzył sobie na głowie cały stos poduszek – ciągle jeszcze słyszałbym auta, kroki i głosy, wprawdzie przytłumione, ale wywołujące podobną reakcję w żołądku i podrażnionym mózgu. Wysuwam ręce spod ciała, splatam zwiotczałe palce i modłę się o jakiś atak z użyciem gazów bojowych, który by tam na zewnątrz unieruchomił wszystko, powstrzymał natrętną krzątanicę i przywrócił spokój.

Wtedy dzwoni telefon. Spojrzenie półotwartych oczu chwytą jasnopszeniczny odcień podłóg, a bliżej – góry i doliny w pofałdowaniach zsuniętego prześcieradła. Kulki kurzu zdają się tak duże jak kłęby suchych roślin przetaczające się po amerykańskich szosach, między nimi kilka chusteczek higienicznych, zmiętoszonych i posklejanych zeschniętymi smarkami. Talerze z resztkami pizzy. Potem dostrzegam słuchawkę. Leży poza zasięgiem moich rąk, wgłębienie na baterie zieje pustką. Jestem pewien, że to dziewczyna z radia, więc chcę odebrać. Po pięciu dzwonekach włącza się automatyczna sekretarka. Nie mam szansy dotrzeć wcześniej do słuchawki i baterii. Nie udaje mi się nawet wyciągnąć na czas ręki.

Sekretarka jest nastawiona na cały regulator, słyszę komunikat. Piip.

– Maks – mówi kobiecy głos – dosyć tego.

To nie Clara; zanim uzmysławiam sobie, kto mówi, mija trochę czasu. Przed oczyma staje mi postać Marii Huygستن w pozycji, w jakiej zawsze widziałem ją przez szczelinę

uchylonych drzwi w moim biurze, czyli siedzącą przy biurku: jej porcelanowobiała twarz, dalej rudawe włosy spiętrzone z tyłu głowy i zwrócone ku światłu padającemu z okna. Niekiedy, gdy zamiast pracować, gapilem się nieruchomo przed siebie, wyobrażałem sobie dla żartu, że doskonale różowe usta Marii Huygsetten nagle się napinają, a przez zacisnięte wargi wysuwa się gruba, brunatna kiełbaska gówna. Do takich fantazji prowokowała mnie najprawdopodobniej nieskazitelna czystość tej kobiety.

Tymi różowymi ustami przemawia teraz do mojej automatycznej sekretarki.

- Dzwonił Rufus z informacją, że już nie wrócisz - oznajmia.

W biurze zawsze zwracała się do mnie per pan. Spędziłem z nią może dziesięć nocy, nie więcej. Dziesięć nocy w ciągu dwu lat, i to też tylko wtedy, kiedy już po prostu nie mogłem wytrzymać. Poczucie winy przyprawiało mnie zawsze potem o fizyczny ból. Maria używała logicznych argumentów, ale mimo wszystko nie miała racji, dowodząc, iż moje zachowanie jest całkiem normalne. Wystarczyło, bym przez dziesięć sekund posłuchał Jessie, która z udręczoną twarzą plątała się w obietnicach, że to już nie potrwa długo i będzie mogła to ze mną robić, niebawem, z pewnością lada dzień. Wtedy zamykałem jej usta, z całej siły, nie mając wątpliwości, iż Maria kłamie, a ja jestem piekielnym pomiotem. Maria jedyna wiedziała o istnieniu Jessie w moim życiu, dlatego nigdy nie wyzbyłem się lęku, że pewnego dnia, wszystko jedno z jakiego powodu, zadzwoni do niej, aby opowiedzieć o owych dziesięciu nocach, których nie spędziłem przecież w biurze z powodu nawąłu zajęć.

Oczywiście domyślałem się, czemu dzwoni. Można stłumić pewne uczucia, nie da się jednak zepchnąć w podświadomość obecności Jacques'a Chiraca.

- Posłuchaj - mówi Maria Huygsetten - wiem, że już nic nie będzie nas łączyło. Nie mam złudzeń. Ale wpadnij po psa.

Pewnie miałem cichą nadzieję, iż przyzwyczai się do niego i zechce go zatrzymać. Jeśli w ogóle o tym myślałem. Naturalnie kocham Jacques'a Chiraca. Jednakże jest to pies Jessie i powinien umrzeć, jak ona. Kiedy go widzę, nie mogę nie myśleć o tym, jak co rano pochylał się nad nami, stercząc na długich nogach, które utrzymują go niczym rusztowanie, a także o tym, jaka siła ciężkości ciągnie w dół prze-rośniętą skórę na jego pysku, nadając mu pełen rezygnacji, zmartwiony wyraz. Jessie zawsze śmiała się głośno z tej miny, która właściwie nie była miną, tylko anatomiczną osobliwością. Brała jego potężny łeb w ręce i międliła go, a ja, wsparty na łokciu, przyglądałem się im obojgu. Jacques Chirac każdego ranka na nowo okazywał radość, że widzi nas przebudzonych do życia. Nasz sen musiał być dla niego czymś w rodzaju letargu, nie dającego mu nigdy całkowitej pewności, czy wraz z nastaniem dnia naprawdę z niego wyjdziemy. Teraz nie mogę znieść obecności tego psa. Wiem, że ciągle jeszcze wydaje mu się, iż Jessie wróci. Nie mogę znieść tej nadziei, z jaką leży przed zabarykadowanymi drzwiami do gabinetu, nastawiając uszu, kiedy tam w środku zaczyna pikać budzik. Jacques Chirac czeka.

Ciągnąc za sobą kołdrę, podczołguję się do zmiętoszonej kupki czegoś, co jest moją niedbale rzuconą marynarką, znajduję kokę, biorę dużo i szybko, a potem z powrotem łąduję w łóżku. Czekam. Ale nic się nie dzieje. No, powiedzmy prawie nic. Aż wreszcie wpadam w panikę. Przychodzą takie fazy, kiedy narkotyk przestaje działać i trzeba zrobić

przerwę, żeby potem dalej normalnie brać. Przerwę przynajmniej trzy- lub czterodniową. Jest więc jasne, co mnie czeka.

Wskakuję w spodnie od garnituru, które lepią się do spoconych ud, wsadzam na nos okulary przeciwsłoneczne i wychodzę z domu. Istna odyseja. Mimo wszystko cieszę się na myśl o psie. Pozwala mi to stawić czoło gapiącym się na mnie ludziom i coraz bardziej natarczywemu zgiełkowi ulicy, pomaga zapłacić za bilet tramwajowy i odczytać rozkład jazdy. Gdybym po raz pierwszy znalazł się na tej planecie, nie mógłbym czuć się bardziej obco.

Kiedy Maria otwiera drzwi, Jacques Chirac natychmiast wyprzedza ją pędem i rzuca się na mnie. Wspina się łapami na moją klatkę piersiową, żeby polizać mnie po twarzy, ale nie wytrzymuję jego ciężaru i upadam na kolana. Po chwili wstaję, wspierając się o jego grzbiet. Przy tej okazji odkrywam, jak bardzo schudł. Zupełnie jakbym dotknął blejtramu obciążonego kawałkiem płótna. Jestem pewien, że Maria w miarę możliwości o niego dbała. Nadal wspieram się na nim, bo nawet taki wychudzony, ciągle jeszcze jest silniejszy ode mnie. Swego rodzaju atak słabości przyprawia mnie o zadyszkę. Stoję przygarbiony. Gdy Maria mnie dotyka, potrząsam przecząco głową. Z jej miny wnoszę, iż przedstawiam sobą żałosny widok. Maria zaczyna mówić szybko i cicho, przekonuje, że powinienem zostać, że ona zapewni mi poczucie bezpieczeństwa. Nie zdejmuję okularów, nie dziękuję jej i wychodzę, zanim zdąży mnie pocałować.

Wieczorem pojmuję, jak dobrze jest mieć znów Jacques'a Chiraca przy sobie. Zabraniam mu leżeć przed drzwiami do gabinetu. Nie żre, czuję jednak, iż cieszy się, mogąc być ze mną. Leży na boku i dyszy, tak że jego ciało nadyma się

i kurczy niczym miech, ślina cieknie mu z pyska, tworząc kałużę. Ze względu na niego z chęcią zrobiłbym coś z tym upałem, ale nie umiem, nie mam nic, co by przyniosło ulgę mnie i jemu. Dlatego też idziemy na spacer, który wszakże nie sprawia mu już przyjemności, pies nie biegnie radośnie przodem, nie zachęca do zabawy. Ruch daje mu jednak zapomnienie. Mnie też. Pomaga trochę skrócić czas oczekiwania, aż narkotyk znowu zacznie działać. Wychodzimy z domu zawsze, gdy jestem bliski szaleństwa. Po powrocie zatrzymuję się na chwilę przed szafką z telefonem. Nie ma w niej nic podejrzanego. Już nie wierzę, że ktoś ją kiedyś przesunął. Nie wierzę też, iż dziewczyna z radia kiedykolwiek tu była. Wydaje mi się, że żyję tak od tygodni: zawsze krótka rundka z Jacques'em Chirakiem, potem łóżko i próba zaśnięcia, leżenie, póki dyszący oddech psa nie poderwie mnie na nogi. Od czasu do czasu za zamkniętymi drzwiami dzwoni budzik, a ja coś wołam.

Później znowu idziemy na spacer.

## 4. Ćmy

Kotlinkę rozświetla pomarańczowe światło stacji benzynowej Shell. Opieram się o przyozdobioną esami-floresami poręcz niewielkiego mostu. Poda mną niczym tłuste cielska dwu węży leżą rury ciepłownicze, umoszczone w przesiece między krzakami i zielskiem. Bładoszare, zdążają ku centrum miasta, prosto jak strzełił, ale w niektórych miejscach są wygięte i leżą z boku w trawie albo wznoszą się pionowo jak bramki wysokości człowieka. Jessie pytała mnie zawsze, dlaczego te metrowej średnicy rury mają takie zakrzywienia, ja zaś mruczałem wtedy coś o rozszerzalności pod wpływem gorąca. Po prostu tego nie wiem. Może są takie tylko dlatego, żeby dziwaczniej wyglądało?

Torba, utrzymująca świeżość artykułów spożywczych, którą niosę w lewej ręce, jest srebrna i zadrukowana niebieskimi śnieżynkami. Znajduje się w niej białe Magnum w złotej cynfolii. Powodowany nagłym odruchem, kupiłem je na stacji benzynowej – chociaż nie mam ochoty go zjeść. Oczywiście ośmieszę się, przynosząc Clarze loda na patyku. Może to wyglądać na niestosowną uprzejmość, póki nie zacznę zabiegać o jej przyjaźń, nie zechcę jej przelecieć albo zawrzeć jakiejś umowy kupna-sprzedazy. Nie zależy mi na tym, żeby dać Clarze tego loda. Sam czuję do niego

obrzydzenie, ale nie umiem wyrzucać jedzenia. Clara jest jedynym w tym mieście człowiekiem, któremu mogę zanieść lodu o pierwszej w nocy. W każdym razie w środy i w niedziele. A więc ruszam w drogę. Obok mnie kołysze się na długich nogach Jacques Chirac. Gdy wychodzimy z kręgu pomarańczowych stożków ulicznych latarni i wkraczamy do parku, ożywia się i wybiega nieco naprzód. Stare drzewa sterczą wysoko i wyglądają w swojej czerni jak grube nogi stada słoni, których podbrzusza tworzą nocne niebo. Słysząc cykanie świerszczy i przyciszone głosy studentów wylegujących się z butelkami wina na łące.

Jest ciepło. Kiedy wreszcie dotrę do radia, stanę tam z białą papką w garści.

Nadejście zmroku przynosi zawsze ogromną ulgę. Ulice pustoszeją, zgiełk cichnie, mogę wafęsać się leniwie, bez najmniejszego celu i potrzeb. Inni też nie mają o tej porze nic lepszego do roboty. Oglądają telewizję, rozpoznają błękitną poświatę ich odbiorników za oknami i na sufitach mieszkań. Kolory oraz szybkość, z jaką następują kolejne obrazy, pozwalają mi odgadnąć, czy lecą właśnie wiadomości, film akcji czy też jakiś reportaż. To sprawia, że obecność innych mi nie przeszkadza, jest teraz równie bezsensowna jak moja. Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie powinien nastawać dzień. Ziemia mogłaby opuścić swoją orbitę i odlecieć w wieczną noc uniwersum, by ze wszystkich stron oglądać gwiazdy. Być może wzięlibyśmy ze sobą księżyc, stoi na niebie bledziutki i cienki jak obcięty paznokieć kciuka. Czuję się lepiej. Pewnie dlatego, że jest środa. Środa i sobota to jedyne dni, które rozpoznaję. Jakby coś w rodzaju plamy na twarzy różniło je od innych, doskonale jednakowych. Tą plamą jest audycja Clary. Może też poprawił się wreszcie biochemiczny

stan mojego mózgu. Zapowiedź, że niedługo znów będę mógł wrócić do narkotyków.

Zastępy ciem przenikają w sobie tylko wiadomy sposób przez szczelne klosze latarń i padają tam, tworząc brylaste czarne ślady na wewnętrznej powierzchni szkła. Kuna, niczym czworonożne salami, przebiega mi drogę, po czym znika między zaparkowanymi samochodami. Wymachuję torbą z Magnum. W taką noc jak ta po powrocie do domu szukałbym Jessie w całym mieszkaniu, aż wreszcie znalazłbym ją najprawdopodobniej przy stole kuchennym przed otwartym oknem, z nogami oplecionymi wokół krzesła i z palcem podążającym wzdłuż linijek jednego z tych listów, które zawsze przychodziły do niej opatrzone austriackimi znaczkami, bez podania nadawcy, i po których popiół znajdowałem niekiedy w zlewozmywaku. I tak nigdy bym nie próbował przeczytać żadnego z nich, byłem pewien, że ich nadawcą jest jej brat Ross i że Jessie zostawia je bez odpowiedzi.

Zaproponowałem jej nocny spacer, a ona natychmiast zerwałaby się z rozpromienioną twarzą i nieporządnie sterującym wianuszkim żółtych włosów, który nadawał jej wygląd słoneczka. Pobiegłaby po adidasy, trącając w przelocie Jacques'a Chiraca w żebra, by poderwać go na nogi. Na ulicy, otoczona kurzem miasta, zanurzona w letnim pomarańczowym powietrzu, schwyciłaby moją rękę i dla zabawy prowadziła ze mną walkę na palce, aż objęłaby dwa, środkowy i serdeczny, i uwięziła je w zaciśniętej pięści. Żaden inny chwyt nie wchodziłby w grę. Szlibyśmy, trzymając się za ręce, i w którymś momencie, obok jakiejś stacji benzynowej, Jessie zaczęłaby błagać mnie o lody, a ja kupiłbym jej białe Magnum. Sięgam do torby. Ciągle jeszcze się nie rozmaśliło.

Jessie wprawiała się w jak najpowolniejszym jedzeniu lodów. Nie odgryzała kawałka, tylko zawsze lizała je całe. Ta technika doprowadzała mnie do szału, nie mogłem na to patrzeć. Delikatne lizanie lodów w czekoladowej polewie jest czynnością całkowicie jałową. W którymś momencie u dołu, w pobliżu patyka, i tak zaczyna z nich kapać waniliowy sos, a duże, gładkie kry czekoladowe kruszeją i spadają na ziemię. Kiedy Jessie udawało się wreszcie uporać z lodami, cała jej twarz się lepiała, nie mówiąc już o dłoniach, do których przyczepiał się uliczny kurz, pyłki kwiatowe w kształcie parasolek, a niekiedy przyklejał się nawet komar. Jessie była jednak szczęśliwa, w każdym razie takie sprawiała wrażenie.

Przystaję i chwytam się za szyję. Przez chwilę nie mogę oddychać, znam to ukłucie tuż nad krtanią, zaraz potem pojawia się nieodparta potrzeba odkaszlnięcia, ale brakuje mi tchu, żeby zakasać. Staram się uspokoić i usiłuję rozluźnić gardło. Udaje się. Kaszląc, pochylam się do przodu, opieram obie ręce na kolanach i mam takie poczucie, jakbym wywracał sobie płuca na lewą stronę, niczym parę skarpetek, które zwinięte i związane wyjmuję z pralki. Jacques Chirac stoi obok, przyglądając mi się niewzruszenie. Zapalam papierosa, wysupłanego z tylnej kieszeni spodni. Ból w płucach, gdy dym muska ich podrażnione płaty, dobrze mi robi. Przywraca do rzeczywistości, oddalając od lodów i szczęścia. Przywraca tej nocy, podczas której chodzi jedynie o to, aby pozbyć się Magnum, kupionego z głupoty, tej nocy, kiedy muszę dobrze pilnować drogi, jeśli chcę znaleźć radiostację Clary.

Usiłuję myśleć o Clarze, o tym, że z pewnością wieczorami namacza w wodzie ziarna zbóż na śniadanie, a w niedzielne poranki chadza o dziesiątej na techno-party i nigdy

nie używa płynu zmiękczającego do prania dżinsów w pralce. Ale z trudem przypominam sobie jej twarz. Przez kilka dni, pocąc się i jęcząc, słuchałem hałasów z ulicy, a każda godzina dłużyła mi się, jakby to był tydzień.

Schodzę skarpą na tory kolejowe. Jedna trasa wędrówki wiedzie przez wysoką po pas, pożółkłą i suchą trawę, pośród cykuty, której kwiaty chwieją się wysoko nad moją głową. W linii równoległej biegnie przynajmniej z dziesięć torów, większość porośnięta trawą, niektóre nie. W zaroślach obok szyn walają się żółte lub niebieskie, na pół przegniłe worki na odpadki, wypełnione anonimowymi śmieciami, w pewnym momencie opływa mnie cuchnący obłok zgniłego mięsa. Każę Jacques'owi Chiracowi iść tuż przy nodze. Pod łukami dwu rur ciepłowniczych przyśpieszam kroku w obawie, że mogłyby spaść, zmiażdżyć i pogrześć moje ciało. Kiedy gruba wiązka szyn rozchodzi się i biegnie dalej dwiema osobnymi koleinami, opuszczam ten teren i wracam na drogę.

Plac przed głównym gmachem rozgłośni radiowej wydaje się rozległy i pusty, widać tylko dwa niedbale zaparkowane samochody, jeden jest krzykliwie zielony niczym plastikowa żaba, którym to kolorem z pewnością nie lakieruje się aut seryjnie. W oddali widzę portiera siedzącego w oświetlonym przedsionku za szklanymi ścianami. Zbliżam się do zielonego samochodu, rozklekotanej ascony, i już z daleka rzuca mi się w oczy, że na tablicy rejestracyjnej poza czernią i bielą jest także nieco czerwieni. Mimo wszystko nie chce mi się w to wierzyć, podchodzę więc jeszcze bliżej i pochylałam się nad znakami. Ależ tak. Samochód ma wiedeńską rejestrację. Dlaczego nie? A jednak wkrada mi się do serca

jakiś niepokój, który po chwili zaczyna przeradzać się w trudną do wyjaśnienia, bezsensowną, choć właściwie niezbyt silną wściekłość.

Portier patrzy nieufnie. Jest druga w nocy, więc już wcale nie spodziewam się spotkać tu Clary. Przez szczelinę w domofonie podaję imię dziewczyny, a następnie swoje. Portier dzwoni do kogoś, drzwi szemrzają. Gdy przechodzimy obok, mężczyzna uśmiecha się nawet do Jacques'a Chiraca. Otwiera swoją budkę, wołając za nami: „Drugie piętro”.

W windzie przyglądam się własnemu wizerunkowi na lustrzanej ścianie. Moja cera jest nieszczerólnie piękna nawet bez tego neonowego oświetlenia. Zawsze myślałem, że lustra w miejscach publicznych są po drugiej stronie przezroczyste i ktoś odbiera tam spojrzenia człowieka, który patrzy sobie w oczy.

- Drzwi się otwierają - informuje kobiety głos z taśmy - drugie piętro.

Gdy drzwi windy zamykają się za mną, otacza mnie mrok. Żadnego odgłosu. Przystaję, trzymam Jacques'a Chiraca na smyczy i czekam, aż oczy przywykną do ciemności i złapię z grubsza orientację w przestrzeni. Wreszcie widzę oświetlony szyld z zarysem lewej ręki i idę za jej wskazaniem. Wchodzę do jakiegoś pomieszczenia, gdzie potykam się o coś z hałasem; to stół mikserski. Widzę kolejne otwarte drzwi, z których pada zielonkawe światło. Bije od komputerowego monitora. Przed nim, plecami do mnie, siedzi Clara, ciemna sylwetka. Okno jest otwarte. Cmy, nocne motyle, różne muchy i muszki pełzają po ekranie jak przebudzone do życia znaki interpunkcyjne. Przystaję w drzwiach i opieram się o framugę.

- Hej - mówi Clara.

Nie odwraca się. Właściwie nie mamy sobie nic do powiedzenia. Zapalam papierosa. Panuje cisza, tylko klawiatura klekocze. Clara pisze z szybkością zawodowej sekretarki. Nie zadaję sobie trudu czytania tekstu, wystarczy mi patrzeć, jak linijki posuwają się do przodu, robak, który wypływa sam siebie, potem urywa się i pół centymetra niżej, od samego początku strony, zaczyna znowu odtwarzać się z jednej jedynej litery niby z małego czarnego jaja. Ma to w sobie coś hipnotyzującego.

Pomieszczenie jest ciasne i zastawione różnymi urządzeniami; nie mam nawet pojęcia, do czego służą. W świetle monitora wszystko, łącznie z plecami Clary i ze mną, wygląda nierealnie; rozżarzony koniuszek mojego papierosa wydaje się w tym pokoju jedynym naturalnym, organicznym punktem. Właściwie nie znam tej dziewczyny. Ledwie dwa razy odwiedziła mnie w moim mieszkaniu. Jacques Chirac stoi za drzwiami i oddycha ciszej niż zwykle. Szeleszczę srebrną torbą.

- Coś ci przyniosłem - mówię.

Zanim udaje mi się skończyć to krótkie zdanie, które brzmi jeszcze głupiej, niż mogłem się tego spodziewać, zapiera mi dech.

- Co to jest? - pyta Clara.

Na czoło występują mi krople potu, samo przebywanie w tym pomieszczeniu wymaga potrójnej energii. Zaglądam do torby i patrzę, co to jest.

- Lody - mówię.

Nie dość, że brzmi to niedorzecznie, to jeszcze jakoś rozpaczliwie. Być może już ze mną koniec, naprawdę koniec. Chwytam torbę od dołu, postępuję dwa kroki do przodu i wytrząsam Magnum obok Clary na stół komputerowy. Ona ciągle jeszcze trwa w bezruchu, ale przerywa pisanie,

robak zastyga w środku monitora, jej ręce wiszą rozcapierzone nad klawiszami niczym pająki czyhające na zdobycz.

- Jedyne, czego chcę od ciebie - mówi cicho - to twoja historia. Nic innego mnie nie interesuje.

Przez kilka sekund panuje absolutna cisza. Tylko owady nadal pełzają swobodnie. Być może udałoby mi się zapanować nad sytuacją, gdyby Clara się poruszyła, odwróciła, pokazała mi swoją twarz, a w jej głosie dałoby się usłyszeć bodaj odrobinę życia lub ciepła. Mógłbym się wtedy roześmiać albo wrzasnąć, mógłbym kazać jej odpokutować za te owady, za zielone auto, za ruch uliczny i krzyki dzieci oraz za kiepskie światło w windzie. Wystarczyłby małeńki bodziec. Ale ona zachowuje się cicho, niezwykle cicho, nie odwraca się ani nawet nie oddycha.

Z gulgotem w gardle sięgam nagle po Magnum - czuję w palcach jego miękkość, rozmaślony guz w cynfolii, czuję, że należy on do Jessie - i wybiegam z pokoju. Porywam ze sobą psa na smyczy, który zrazu się wzbrania, najwyraźniej chcąc tu zostać, jego łapy ślizgają się parę centymetrów po gładkiej podłodze, ale potem zaczyna biec obok mnie, klip-klap, gubimy się w ciemnym korytarzu, nie odnajdujemy czerwonego światła przycisku windy, za to nad głowami odkrywamy zieloną strzałkę, wskazującą klatkę schodową. Wydaje mi się, że Clara w ogóle nie zauważyła Jacques'a Chiraca.

Na dziedzińcu rzucam Magnum na ziemię i wgniatam je obcasem w kurz, błotnista maź, aż papier się rozrywa, a biały sos tryska mi na but i prosto do skarpetki, czuję, jak spływa powolutku i lepi się na kostce. Dawniej, w Wiedniu, kiedy nie wiedziałem, co ze sobą począć, zamykałem się

w biurze i stając pośrodku pokoju, trwałem przez kilka minut w pozie posągu, jedna noga wysunięta do przodu, w lekko uniesionej prawicy otwarte tomiszczce Sartoriusa II z najważniejszymi prawami międzynarodowymi. Nie musiałem opuszczać wzroku, żeby na cokole pod sobą zobaczyć tablicę z brązu, na której widniał napis: Maks Maksymalny. Wydawałem się sobie wtedy nieskończenie śmieszny. Ale pomagało.

Nie ma powodu biec, obawiam się jednak, że Clara może śledzić mnie przez otwarte okno. Więc nie potrafię inaczej. Wybiegam na ulicę, zmuszam się, by iść normalnym marszowym krokiem, wytrzymuję przez kilka metrów, potem biegnę znowu. Na oświetlonym zegarze stojącym pośrodku skrzyżowania jest po trzeciej. Gdy dotrę do domu, zrobi się wpół do czwartej, a kiedy rzucę się na materac, usłyszę świergot pierwszych ptaków i nie zaznam snu. Zacznie się wzmagać upał i ruch uliczny, będę przewracać się z boku na bok i zasłaniać głowę rękami, skończy się środa i nastanie czwartek albo coś podobnego, jakiś miniony wtorek albo przyszły piątek, lub inny dowolny dzień mojego życia.

Chociaż nad dachami miasta zaległo już pasmo dusznej jasności, w moim przedpokoju panuje całkowita ciemność, tym wyraźniejsza, że błyska czerwona lampka automatycznej sekretarki.

- Czwartek, godzina zero trzydzieści dwie - informuje automatyczna sekretarka.

Jakie pedantyczne są te aparaty! Z mojego punktu widzenia o zero trzydzieści była jeszcze środa. Słysząc nieznanymi mi męski głos. Ale wiedeński akcent nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Kiedy mężczyzna kończy mówić, sekretarka piszczy, ja zaś wyrywam przewód ze ściany. Nie zapalając światła, biegnę do pokoju, zbieram z podłogi kilka sztuk garderoby i wciskam je do niedbale rzuconej plastikowej torby. Następnie wypycham Jacques'a Chiraca z mieszkania. Przekręciwszy dwukrotnie klucz w zamku, zbiegam po schodach. Koniec.

## 5. Prosiaki

Gorący prysznic w gorące dni to masochizm. Strumienie wody wyciskają ze mnie siódme poty, na udach pojawiają się czerwone obwarzanki. Dostaję zawrotów głowy. Para zalega grubą warstwą między kafłowymi ścianami, widoczność przez szyby kabiny jest słabiusieńka, jakbym właśnie przebił samolotem pokrywę chmur.

To nie jest moja łazienka. Żel pod prysznic biorę w dużych ilościach z gładkiej, czerwonej butelki z plastiku, od której ktoś oderwał etykietkę. Żel ma męski zapach. Na obrzeżu wanny stoją rzędkiem kosmetyki bez nalepek. Odkręcam kilka butelek, aby powąchać ich zawartość. Wszystko to babski kram – zapachy korzeni i owoców: wanilii, brzoskwiń, jabłek, orzechów kokosowych, kiwi, truskawek.

Zadaję sobie pytanie, czy ten jedyny żel dla mężczyzny przeznaczony jest dla bliskiego przyjaciela. Wyobrażam sobie, jak wieczorami siedzą obok siebie na brzegu wanny i razem zdrapują paznokciami naklejki z butelek szamponów.

Wydłubuję z nosa zeschnięty smark z ciągnącą się na dziesięć centymetrów nitką śluzu; gdzieś tam jest krwistoczerwona, woda spod prysznica odrywa mi ją od palca. Smark, wirując, znika w odpływie. Clara z pewnością nie ma stałego faceta. Już dawno przyszedłby do mnie, by mi dowalić, chyba że to intelektualista, co jednak do niej nie pasuje.

A więc sama używa męskiego żelu pod prysznic albo też kupiła go dla mnie. Wzmacniam strumień gorącej wody. Wszystko, czym jestem, znajduje się teraz tuż pod skórą i wypływa na zewnątrz, zlewając się z ogłuszającym bólem, który powoduje gorąca woda i który opina mnie całego jak szczelny kombinezon. Przez chwilę cieszę się, że w ogóle wiem, w czyjej łazience jestem, cieszę się też na myśl o zimnym prysznicu. Prawdopodobnie Clara uraczyła mnie alkoholem, już nie pamiętam. Ale przynajmniej mogę być pewny, iż jej nie przerzynałem. Od tygodni mi nie staje, to jedno nie ulega wątpliwości.

Parą zachodzi nie tylko lustro, lecz także kafle, umywalka, muszla klozetowa i wszystkie plastikowe butelki. Zewnętrzne warstwy rolki papieru toaletowego zaczynają się fałdować od wilgoci. Wszystko jest boskie.

Wtedy przychodzi mi na myśl pies. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie z nim ostatnio byłem i gdzie mogłem go zostawić. Przez chwilę stoję zeszywniały, woda wpływa mi do ust. Wypluwam ją, wyslizguję się spod prysznica i gwałtownie otwieram drzwi. Za mną wzbiera ogromny obłok pary. Po raz pierwszy w pełni świadomie widzę ten przedpokój. Jest wyłożony jasną wykładziną, a całe mieszkanie z wyposażeniem z Ikei wygląda na sfinansowane przez rodziców. Cztery pary drzwi fornirowanych na białą, wszystkie zamknięte.

- CLARO! - wrzeszczę.

Uchylają się jakieś drzwi, Clara wystawia głowę, widzę tam też Jacques'a Chiraca z długą nitką śliny zwisającą z pyska.

Wycieram się, ale w tej samej sekundzie znów jestem mokry od potu i pary. Nie mogę nawet włożyć bielizny, wskakuję więc nagi w spodnie, zakleszczając sobie w zamku

błyskawicznym kilka włosków łonowych. Koszula lepi się do pleców i rąk, nie sposób jej równo naciągnąć, dwa razy zapinam ją źle i klnę.

- Skąd właściwie masz to bydlę? - pyta Clara.

Przeraża mnie jej głos, tuż za drzwiami, ledwo tłumiony przez drewno.

- Wezmę twoją szczoteczkę do zębów - oznajmiam.

- Dlaczego on wabi się Jacques Chirac? - dopytuje się Clara.

- Jessie tak go nazywała - mówię niewyraźnie.

I w tym samym momencie gryzę się w język, gdyż po drugiej stronie drzwi zapada całkowita cisza, a po chwili wybucha wrzask radości.

- Ha ha ha - woła Clara - teraz już wiem, jak ona mia-a-ła na i-i-mię, teraz wiem, jak mia-a-ła na i-i-mię.

W gębie mam szczoteczkę do zębów, pianę na ustach, w tym stanie nie mogę wyjść z łazienki.

- Mogłaś mnie o to zapytać - bronię się słabo.

- A ty byś mi znowu dowalił - kontruje Clara.

- Święta prawda - przyznaję.

- Dlaczego Jacques Chirac jest taki wielki? - drażny.

- Prawdopodobnie chciał tak bardzo urosnąć - mówię - aby móc patrzeć Jessie prosto w twarz. Uwielbiał na nią patrzeć.

Płuczę usta i przeczesuję palcami włosy. Jedną ze szminek piszę na lustrze nad umywalką: *Objects in the mirror appear further than they are*. Drzwi się otwierają i pies wciska się do środka, by mnie powitać. Clara dla żartu rozpląszcza twarz między drzwiami a futryną, tak że wygląda jak postać ze *Spitting Image*. Po chwili dochodzi mnie zapach kawy. Potrzebuję jej teraz bardziej niż czegokolwiek innego.

- Słuchaj - wołam - zaparzyłaś kawę?

- Oczywiście - potwierdza - chodź do kuchni.

Clara ma niewielkie mieszkanie, przedpokój przemierzamy trzema krokami. Wykładzina podłogowa nie jest wcale nieprzyjemna dla gołych stóp. Wszystko lśni nieskazitelną czystością, tylko sufit w pokoju wydaje się zawieszony zbyt nisko. Dalej biała meblówka w kuchni, piecyk z ceramiczną płytą. Na stole stoją dwie filiżanki do kawy i magnetofon DAT.

- Powiedz - pytam - z kim zamierzasz przeprowadzić wywiad?

Clara spogląda na mnie i unosi brwi.

- Nie pamiętasz już - dziwi się - co obiecałeś mi dzisiaj rano?

Wracam do łazienki i w ściiennej szafce znajduję tabletki od bólu głowy. Opróżniam fiolkę do połowy. Następnie staję przy oknie w kuchni. Pasma dusznej jasności, nawet w zarodku nie różowe, zalega nad dachami miasta. Przez chwilę przyglądam się cieniom latarni na chodniku, które obracają się dookoła, oświetlane reflektorami przejeżdżających samochodów.

- Chciałeś się koniecznie do mnie wprowadzić - przypomina Clara - dobiliśmy więc targu.

Przyciskam prawą rękę płasko do ucha, tak że słyszę już tylko świsty z lewej strony, świsty i ciszę panującą w mojej czaszce.

- Mówiłem ci - pytam - dlaczego chcę się do ciebie wprowadzić?

Clara kręci przecząco głową. Może kłamie. Na podłodze odkrywam pustą butelkę po wódce, którą z pewnością wypięm sam. Filiżanka kawy ogrzewa moje słabo ukrwione palce. Clara rzuca we mnie papierosem. Najwyraźniej postanowiła mi matkować.

- Ostatniej nocy - mówię - ktoś zostawił na mojej automatycznej sekretarce wiadomość, że naprawdę już najwyższy czas przekazać pożądaną numer i dołączyć do niego trzysta tysięcy marek.

- Intrygujące - orzeka Clara.

- Nie licząc kosztów pogrzebu - mówię.

- Twojego? - pyta.

- Dobrze by było - odpowiadam.

Zastanawia się przez moment, po czym zaczyna rozumieć.

- To nie ty pochowałeś Jessie? - pyta.

- Ulotniłem się - mówię - do czasu, aż było po wszystkim. Prawdopodobnie ojciec kazał ją zabrać. Być może do Wiednia.

- On tam mieszka?

- W każdym razie czternaście lat temu miał w Wiedniu stałą siedzibę.

- A teraz?

- Czy ja wiem - syczę - widziałem go tylko raz w życiu.

- Ale - dopytuje się Clara - o jaki numer chodzi?

- PRZECIEŻ NIE WIEM - mówię.

- I co jeszcze opowiadali?

- Że jeśli będę udawał głupka, oskarżą mnie o morderstwo.

- A co - pyta Clara - czy gliny podejrzewały cię o zamordowanie Jessie?

- Nikt mnie o nic nie pytał - odpowiadam.

- To też jest śmieszne - mówi Clara - przecież gdy ktoś umiera, zawsze pytają, przynajmniej rutynowo.

Odwracam się i łapię ją za kołnierz.

- Uważaj, zasrana mądralino - syczę - tu chodzi już tylko o jakieś kilka tygodni, może trzy miesiące. W tym czasie chcę mieć spokój, wszystko jedno od czego, rozumiesz, wszystko ma się skończyć spokojnie.

Clara patrzy na mnie sceptycznie.

- Chyba nie myślisz na serio - pyta - że od tych paru prochów po prostu wykitujesz? A może jednak?

Potrząsam nią.

- To już moje zmartwienie!

- Dobrze, dobrze, w porządku. Będziesz się wykańczał, a w tym czasie wszystko mi opowiesz. I tak nie masz nic lepszego do roboty.

Patrzę na magnetofon, wywołujący dalekie skojarzenia z urządzeniem do odsłuchiwania dyktowanych na kasety tekstów, z którym zawsze pracowała Maria Huygsetten. Obsługiwała go pedałem nożnym niczym maszynę do szycia, a kiedy stawałem za nią, dobiegało mnie skrzeczenie mojego własnego głosu, zniekształconego w jej słuchawkach. Myślę o swoim przestronnym pokoju, może byłoby jednak lepiej leżeć sobie tam w cichości i obserwować, jak stiuki u sufitu rozrastają się coraz bardziej, zwracając za dnia liście ku światłu płynącemu od okna.

- Muszę już iść - oznajmiam.

- Bzdura - mówi Clara. - Jeśli martwisz się o swoją dawkę narkotyków, to pełna torebka znajduje się w jednej z marynarek, które ze sobą przyniosłeś.

Odstawiam filiżankę, by przetrzeć twarz rękami.

- Mam nadzieję, że nie sprowadzisz mi policji do domu - mówi Clara teatralnie.

- Ach, ile w twym głosie słodyczy - ironizuję.

- Ja nie jestem takim Desperado jak pan, panie mecenasie.

Woła tak za mną, gdy idę do przedpokoju. Pojęcia nie mam, skąd wie, kim jestem z zawodu. Być może wszczęła już jakieś swoje dziennikarskie śledztwo, ale najwyraźniej nie dość gruntowne. Nie każdy prawnik jest od razu adwokatem.

W przedpokoju nie ma nic prócz wykładziny – ani garderoby, ani bodaj jednej pary butów, nie ma także telefonu; za to, jak na tak małe mieszkanko, jest w nim mnóstwo zamkniętych fornirowanych drzwi. Poza tymi do kuchni – domyślałam się – są jeszcze prowadzące do łazienki, pokoju stołowego, sypialni, no i drzwi wejściowe.

– A gdzie te wszystkie moje marynarki? – wołam po chwili.

Śmiejąc się, Clara przechodzi obok mnie. Gra na własnym boisku. Otwiera te spośród czworga drzwi, za którymi, jak mi się zdawało, znajduje się wyjście. A to sypialnia. Dwanaście metrów kwadratowych, jednoosobowe łóżko na miarę, z jasnego drewna, pasuje do niego szafa, podobnie jak zasłona z bawełny w słonecznożółtym kolorze. Pościel w żółto-białe paski. Dokładnie taka sama żółcień była ulubionym kolorem Jessie. Wyrывa mi się jęk.

– Bóle głowy? – pyta Clara.

– Nie, Ikea – odpowiadam – to chyba umeblowanie twojego panińskiego pokoju z domu rodzinnego?

– Myśl sobie, co chcesz, jeśli ma ci to ułatwić życie – mówi Clara.

Chwyciwszy moją plastikową torbę za dwa dolne rogi, wytrząsa zawartość na dywan: trzy pogniecione marynarki od garniturów, ani jednej pary spodni, żadnej bielizny czy skarpetek na zmianę. Bardziej bezmyślnie nie mógłbym się już naprawdę spakować. Clara z miejsca znajduje woreczek z koką.

– Jesteś świetnie zorientowana – zauważam.

Zanosi go do kuchni i kładzie obok magnetofonu DAT.

– Muszę teraz wyjść na kilka godzin – informuje – tymczasem dobrej zabawy.

Wilgotną szmatką wyciera kredens. Nie jestem całkiem pewny, czy na dworze robi się jaśniej czy ciemniej.

– Jest rano czy wieczór? – pytam.

Posyłając mi pogardliwe spojrzenie, Clara obciąga na sobie wąskie dżinsy i odrzuca włosy do tyłu.

- Cześć - mówi.

Po jej wyjściu biorę pierwszą od dwu tygodni działkę koki, zrobiwszy przedtem ścieżkę na kuchennym stole. W głowie eksploduje fajerwerk, zaczyna się farmakologiczne odtwarzanie mojej osobowości. Rozglądam się, a tymczasem mój brzuch napęcza się radością. Przedmioty w kuchni stoją na właściwych miejscach, obrazując ład świata, w którym i ja zajmuję z góry wyznaczoną pozycję, wszystko ma tu swoje miejsce, nawet śmierć Jessie i taka wnerwiająca dręczycielka jak Clara. Wszystko widać tu jak na dłoni, o ile jest się wystarczająco inteligentnym, by to zobaczyć. A ja jestem.

Dlatego też wezmę się teraz w garść. I zwięję. Może do Gwatemali. Wstaję, żeby sprzątnąć filiżankę ze stołu, resztką kawy rozpryskuje się po podłodze. Niedbale, starając się utrzymać to samo tempo, sięgam po marynarki leżące na podłodze sypialni i naciskam klamkę drzwi wejściowych. Ale to łazienka. Po chwili znajduję właściwe drzwi. Próbuję trzykrotnie. To nie może być prawda. Clara zamknęła mieszkanie na klucz.

W pokoju rzuca mi się w oczy szeroki na dobre dwa metry regał z półkami wypełnionymi do samej góry płytami analogowymi i CD, nie umiem oszacować, ile tego jest, muszą ważyć z parę ton. Może Clara mieszka w nowym budownictwie nie tylko z powodu kołtuństwa. Kiedyś przeczytałem w gazecie o pewnym didżeju, który w jakimś starym domu wpadł wraz ze swoją kolekcją do sąsiadów, bo zarwał się strop. Wyciągam na chybił trafił kilka płyt z półki, na

każdej widnieje przyklejona kartka z datą roczną i informacją *beats per minute*: 70, 45, 210.

Coś mi przeszkadza, jakaś plama, którą ciągle widzę kątem oka. To otwarta gazeta na biurku, ale zanim udaje mi się odwrócić od niej wzrok, z odległości około trzech metrów rozpoznaję mężczyznę na fotografii.

Upuszczam płytę i podchodzę do biurka.

„Marc Bell, brytyjski korespondent do spraw bałkańskich, spotyka się w Londynie z Zeljko Raznatoviciem. Serbski bohater narodowy zaprzecza istnieniu paramilitarnej organizacji «Tygrysów»”.

Raznatović to Arkan. Zwany „Czyścicielem”. Ładne zdjęcie, z tym szerokim uśmiechem na twarzy przypominającej ryj prosiaka, Arkan wygląda na człowieka szczęśliwego i tryskającego zdrowiem. Wiem, jak bardzo lubi pokazywać się w mediach, zwłaszcza na Zachodzie, w obozie wrogów. Denerwuje mnie bezgranicznie, że ciągle znajdują dość miejsca, by drukować zdjęcia tego szczerzącego zęby szaleńca, a nie wystarcza go na obszerniejszą relację. Poznałbym Arkana zawsze, nawet w największym tłumie. Jego portrety znalazłem w aktach śledczych Międzynarodowego Trybunału w Hadze i studiowałem rysy tej twarzy jak znaki pisma nieznanego języka, które należy rozszyfrować. Najprawdopodobniej szukałem jakiejś odpowiedzi.

W każdym razie ta gazeta nie może tu zostać. Nie przychodzi mi w tym momencie do głowy nikt, kogo nienawidziłbym bardziej niż Arkana. Nawet siebie tak nie nienawidzę.

Biorę gazetę w dwa palce i chociaż naprawdę nie miałem zamiaru robić tu porządków, zanoszę do kuchni i wycieram nią rozlaną kawę. Jednocześnie zastanawiam się, czy może to być przypadek, że właśnie ta gazeta poniewiera się na biurku Clary, otwarta akurat na stronie z tym artykułem.

Kiedy papier całkiem rozmaka, wrzucam go do kubła, myję ręce i wracam do pokoju.

Siadam na podłodze między szklanym stołem a niebieską kanapą i instaluję DAT-a tuż przed sobą. Jacques Chirac kładzie się obok mnie i dwukrotnie uderza długim, cienkim ogonem, po czym rozkłada nogi, żebym go podrapał po brzuchu.

Kilkakrotnie obracam magnetofon w tę i we w tę i już po chwili orientuję się, jak działa. Clara włożyła nową kasetę, a obok zapobiegliwie zostawiła jeszcze dwie, fabrycznie zapakowane. Pod DAT-em znalazłem kartkę, na której Clara tym samym koślawym charakterem pisma co na nalepkach z bpm napisała jedno jedyne zdanie: „Jak zobaczyłem ją po raz pierwszy”.

Wciskam klawisz nagrywania.

- Ją, ją, ją - papłę - ją.

Jakby w tym słowie było coś szczególnego, a przecież jest wręcz odwrotnie, nie ma ono sensu, jest całkiem śmieszne, właściwie bez znaczenia, to raczej odgłos. Nie przychodzi mi nic na myśl, wobec czego wciskam „stop” i przewijam taśmę do początku.

- Ją, ją, ją - papłę magnetofon - ją.

Brzmi to strasznie, marudzący niemowlak, ją-ją-ją. Oczywiście znam swój głos z taśmy, codziennie słyszałem go w biurze, kiedy odsłuchiwałem dyktowane teksty. A mimo to raz po raz przeżywam szok, gdy dociera do mnie z zewnątrz, niejako poza moją głowę. Jest twardy, niewyraźny i podskórnie agresywny. Ponownie cofam taśmę. Instynktownie nie cierpię ludzi o takim głosie. Są szorstcy, bez stylu,

nieokrzesani, w prosty sposób niebezpieczni. Wciskam  
klawisz nagrywania.

- Jak zobaczyłem ją po raz pierwszy - mówię.

## 6. O wędrownych ptakach

Siedziała na biurku, jednym z tych wielu podniszczonych małych biurków z pokoiów dzieciennych. Wszyscy mieliśmy takie w internacie.

Co to ma z tym wszystkim wspólnego? Z drugiej strony, co ma cokolwiek wspólnego z czymkolwiek? Taśma idzie, a ja zapalam papierosa.

Biurko, na którym siedziała, należało do Shershaha. Miała na sobie długą zieloną spódnicę z wyblakłej bawełny. I była boso. Włosy krótkie, żółte, sterczące na wszystkie strony. Na pierwszy rzut oka jej fryzura budziła skojarzenie z promieniami słońca. Jessie siedziała zgarbiona, tak że od razu miało się ochotę zawołać: „Usiądź prosto”.

To mi się podoba. „Usiądź prosto” ujmuje sedno całego tego obrazu, pasuje do Jessie od samego początku do końca, do jej śmierci w ostatnim, dwudziestym ósmym roku życia. Z uśmiechem strząsam popiół na dywan Clary, tak że zaczynają się tlić koniuszki włosków. Unosi się swąd spalonego sztucznego tworzywa.

Wyglądała na trzynaście lat. Działo się to w pierwszych tygodniach roku szkolnego i wszyscy byliśmy nowi. Shershah nie chciał dłużej podążać przez świat za swym ojcem, perskim dyplomatą. Ja nie miałem już ochoty na kolejne kuracje z prawie samymi dziewczętami w domach dla dzieci z bulimią i anoreksją, gdzie umieszczała mnie matka. Nie wiedziałem, skąd przybyła Jessie i na co nie miała ochoty. Wyglądała na trochę zagubioną. Wszyscy wyglądaliśmy na trochę zagubionych, jak wędrownie ptaki, które przegapiły moment odlotu i straciły orientację, gdzie jest południe.

Jessie siedziała na biurku, paląc papierosa, a obok niej leżał stos skrętów. Jeszcze nie umiała sama skręcać fajek, Shershah przygotował jej cały zapas. Przedstawił nas sobie.

- Ta tam to Jessie - powiedział - ten tu to Maks.

Wcześniej niczego o niej nie opowiadał, nie wiedziałem, w jaki sposób ją poznał. Nie chodziła do naszej klasy, była pięć lat młodsza ode mnie.

- W którym budynku mieszkasz? - spytałem.

Shershah odpowiedział za nią.

- Jest z Domu Wschodu - powiedział.

- Ten tutaj to Dom Zachodu - przypomniałem niepotrzebnie.

Shershah położył mi rękę na głowie.

- Maks - oznajmił - jest moim prywatnym filozofem.

W Jessie uderzała przede wszystkim jej drobna budowa. Dzięki wianuszkowi włosów twarz wyglądała na większą, ale ręce i stopy były jak u dziecka. Nogi trzymała na oparciu krzesła stojącego przy biurku, a warstwa smoły na maleńkich podszwach wynosiła kilka milimetrów. Jessie i później niewiele urosła, ponieważ od dziesiątego roku życia paliła papierosy. Ale w oczach widać było dojrzałość. Te oczy, patrzące z surowością i tkwiące w jej twarzy niczym obce ciała, wbiła teraz we mnie. Nie było to przyjemne uczucie.

- Pewnie zawsze chodzisz boso? - spytałem.

Nie odpowiedziała.

- W każdym razie odkąd ją znam - powiedział Shershah.

Zadziwił mnie. Już kilka tygodni mieszkaliśmy w tym samym pokoju, siedzieliśmy w tej samej klasie i jadaliśmy przy tym samym stole, a do tej pory nie zauważyłem, żeby w stosunku do innych ludzi przejawiał choć tyle sympatii, by na czyjąś prośbę podać solniczkę, nie mówiąc już o udzieleniu odpowiedzi na pytanie skierowane do kogoś innego. Odkąd go poznałem, trzy dziewczyny wskoczyły mu do łóżka i wyskoczyły, a Bóg mi świadkiem, że nie były to panienki podpierające ściany na zabawach, on jednak nie sądził, aby z tego powodu musiał pytać je o imiona. Shershah miał jedną charakterystyczną cechę, można nawet powiedzieć: problem. Był piękny.

Muszę iść do kibla, ale śpieszę się tak bardzo, że ledwo otrząsam kropelki moczu i od razu wracam na miejsce. Zastanawiam się, czy powinienem przesłuchać taśmę. Wtedy jednak znów coś mi się przypomina.

Było to w nocy tego pierwszego dnia, gdy zorientowałem się, co takiego Shershah widzi w Jessie. Długo po godzinie zamykania bramy wparadowała do naszego pokoju, bez pukania, chociaż nie mogła mieć pewności, czy któryś z nas się nie brandzluje albo nie podryguje nago z wilgotnym fiutem, grając na wyimaginowanej gitarze do przytłumionej muzyki The Doors. Przypuszczalnie i wtedy niczego by nie zauważyła. Wypaliwszy jointa, leżałem spokojnie w łóżku i czytałem. Shershah siedział przy stole, mazał coś akwarelami na tekturze, starając się upaćkać sobie farbą ręce i ubranie, aby

nazajutrz wszyscy mogli zobaczyć, że malował. Przez krótką chwilę Jessie stała za progiem.

- Dzyń, dzyń, idzie sprzedawca jaj\* - powiedziała - czy ktoś chce coś kupić?

Podnieśliśmy głowy.

- Pytam tylko raz - oświadczyła - jest tu jeszcze wiele pokojów. Chcecie czegoś czy nie?

- A czego? - spytałem.

- Po ile? - spytał Shershah w tym samym momencie.

- Sto pięćdziesiąt marek - odparła Jessie.

Dopiero teraz pokapowałem, że nie chodzi o hasz.

- Nie, dziękuję - powiedziałem.

- Nie mam forsy - stwierdził Shershah.

Wzruszywszy ramionami, Jessie zniknęła. Nie uległo wątpliwości, iż po dziesiątej wieczorem nie mogła dostać się do Domu Zachodu przez główne wejście. Z całą pewnością było zamknięte. Dopiero później dowiedziałem się, że Jessie wspina się na balustradę i zdejmuje kratę z szybu wentylacyjnego, by następnie wśliznąć się do środka. Żaden z wychowawców nigdy by nie wpadł na pomysł, iż ktoś z nas może próbować przedostać się właśnie tamtędy. Ten rodzaj szybów odpowietrzających istniał we wszystkich budynkach, ale jedynie Jessie umiała się po nich swobodnie poruszać. Wykorzystywała je zaledwie raz w tygodniu i tylko w celu sumiennego odbywania swoich rundek, podczas których sprzedawała kokę każdemu, kogo było na to stać.

Mój własny głos zaczyna mnie usypiać. Zamykam oczy, przysuwam się jak najbliżej do mikrofonu i mówię cicho, prawie szeptem.

---

\* Żartobliwa piosenka niemiecka. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Mogła sobie na nią pozwolić większość uczniów, poza mną i Shershahem. Moja matka nie posiadała niczego, pomijając mnie i daimlera klasy S, na którego utrzymanie wydawała alimenty od mojego ojca, przeznaczone właściwie na opłatę za internat. Ten samochód jednak pomagał mi przynajmniej utrzymywać wysoką pozycję społeczną. Podczas okazjonalnych wizyt matka podjeżdżała pod sam budynek, a ja, widoczny z daleka, wsiadałem do jej srebrzystego pojazdu. To było ważne. W przeciwnym razie inni nie wiedzieliby, jak mają mnie traktować.

Ojciec Shershaha, który był ambasadorem w Etiopii, zerwał z nim wszelkie kontakty. Uważał syna za gnojka, wstydził się, że go spłodził, i nie przysyłał mu ani grosza. Ale Shershahowi niczego nie brakowało. Zresztą i tak nosił tylko zatłuszczone czarne dżinsy, wystarczająco wąskie, by można było zobaczyć zarys jego członka i mięśnie nóg, do tego adidas, które wymieniał raz do roku na nowe, i jakiś podkoszulek czy sweter, wyludzone od ludzi z innych pokojów. Wszystkie książki i kasety, jakie posiadał, były pożyczane. Nigdy ich nie oddawał. Nikomu jednak nie przeszkadzało, że nie ma pieniędzy. Ojciec zostawił mu coś ważniejszego: gęste czarne kędziory i orientalne rysy twarzy, tworzące doskonałą oprawę dla cech odziedziczonych po delikatnej, gładkiej cerze matki Francuzki. Shershah nie potrzebował niczego więcej.

Kiedy ponownie otwieram oczy, Clara siedzi naprzeciw mnie, po turecku, z wyprostowanymi plecami, rozpuszczone włosy spowijają dziewczynę niczym ogromny obłok. Krzyczę, biorę ją bowiem za zjawę, chcę poderwać się do góry, ale uderzam o ostrą krawędź szklanej płyty.

- Cicho - mówi Clara - cichutko.

Jej głos brzmi, jakby przemawiała do zwierzęcia, wołu, który nie chce wejść do samochodu bydłęcego. To mnie uspokaja. Promienny uśmiech przedziela twarz Clary na dwie części, wygląda na szczęśliwą. Nie wiem, od jak dawna już tu siedzi, prawdopodobnie jest bardzo późno. Noc przyciska gładką czarną skórę do szyby.

- Mów po prostu dalej - zachęca - proszę.

Cofam nieco taśmę, żeby kontynuować. Prawie mnie mdli od brzmienia własnego głosu. Mój sposób mówienia ma w sobie coś natarczywie cielesnego. Słysząc nawet najcichsze mlaśnięcie, kiedy język oddziela się od podniebienia; słysząc, jak zęby trzonowe trą o siebie, a suche wargi trzeszczą, gdy je rozwieram. To tak, jakbym jadł wszystko, co mówię. Clara wyciąga rękę i wciska klawisz nagrywania.

- Potem często jeździliśmy razem do Holandii - mówię.

Nie mam pojęcia, do czego zmierzam. Nie otwieram oczu, wtykam sobie papierosa do ust. Clara słowem nie komentuje dziur w dywanie. Zaciągam się tuż przy mikrofonie. Na taśmie będzie słyszać głośny szum.

- Chcesz powiedzieć - pyta Clara bezbarwnie - że poza tym nie mieliście ze sobą wiele wspólnego?

- Tak jest - przytakuje - Jessie była dziewczyną Shersha, nie moją. Ja interesowałem się innymi dziewczętami, wysokimi, czystymi, które przybywały do naszej szkoły z klasztornej wyspy, kiedy już miały dość tamtejszych czarno-białych, workowatych zakonnic. Podziwiałem te dziewczyny

z odległości od pięciu do stu metrów. Byłem gruby, a niektóre moje pryszcze osiągały wielkość winogron.

Wsuwam kilka palców do ust i mlaskam.

Jessie uczepliła się Shershaha jak rzep psiego ogona. Spędzała u niego każdą minutę, o ile tylko wytrzymał jej obecność. Co, jak na niego, zdarzało się zdumiewająco często. Nie sądzę przy tym, żeby kiedykolwiek jej dotknął. Choć z pewnością by na to pozwoliła. Pozwoliłaby mu na wszystko. Obserwowanie tego było czymś osobliwym. To tak, jakby od razu pierwszego dnia w głowie Jessie zaskoczył jakiś mechanizm, dźwięcząc radośnie. Kiedy widywałem ich razem, nieodparcie przywodziła mi na myśl coś metalowego, odbezpieczony karabin maszynowy, bezustannie wycelowany w Shershaha. Jessie prawie się nie odzywała, ale jej wzrok podążał za nim wszędzie. Z dystansem. Nie reagowała na sposób, w jaki skubał dolną wargę, przechylając głowę tak, że długi kosmyk czarnych włosów to opadał mu na twarz, to znów podfruwiał w strumieniu jego szybkiego oddechu. Nie reagowała też na pozycję, w jakiej siedział: z rozkraczonymi nogami, by podkreślić mięśnie ud. Jessie zawsze patrzyła na niego tak samo. Wbijała wzrok w jego twarz.

Ze względu na Clarę gaszę papierosa na ławie, a nie na podłodze. Otwieram przy tym oczy i widzę, jak patrzy na mnie: wbija wzrok w moją twarz. I nadal się uśmiecha.

Mimo to myślałem pewnej nocy, że jednak do czegoś między nimi doszło. Spałem już, ale obudził mnie jakiś zapach. Cuchnęło rybio seksem i woskiem świec. Starając

się nadal rytmicznie oddychać, zerknąłem kilka razy, a potem tak długo przekręcałem głowę na poduszce, aż odsłonił się widok na łóżko Shershaha. Byłem przekonany, iż usłyszałem stamtąd głos Jessie, i samego mnie zaskoczyło, jaką nagle poczułem odrazę. Nie chciałem, żeby on z nią sypiał. Wydawało mi się to czymś perwersyjnym. O wiele bardziej perwersyjnym niż wszystko inne, co zazwyczaj czynił. W szkole było wielu Irańczyków, mówiliśmy więc żartem: Perwersyjny Pers.

- Och! - wołał dziewczęcy głos - tylko raz! Tylko raz!

Nie przypominał głosu Jessie, więc się odprężyłem. Był wysoki i brzmiał afektowanie; nie wchodziła tu też w grę żadna dziewczyna z klasztornej wyspy. Istniał pewien typ bardzo młodych pańienek, które bogaci rodzice umieszczali w naszym internacie, zabrawszy je wcześniej z ulic Düsseldorfu, gdzie oddawały się dziecięcej prostytutce. Resocjalizowano je, a potem się nudziły.

Dziewczyna zaczęła teatralnie jęczeć. Shershah odrzucił kołdrę, abym mógł zobaczyć jego rękę między jej nogami. Ona błagała: przerznij mnie, przerznij mnie, głębiej, szybciej, więcej, i tak dalej. Było to śmieszne, ale mimo wszystko raz się spuściłem, zanim skończyli. Zaraz potem Shershah ją wyrzucił.

- Jak ci było? - spytał, śmiejąc się.

Wypaliliśmy wspólnie jointa, a on opowiedział mi coś o Bakuninie i jego radykalnie lewicowych przyjaciółach z centrali. Nie udało mi się wytrwać z otwartymi oczyma i zasnąłem, chociaż on dalej snuł swoją opowieść.

Mówiąc, nie zauważyłem, iż zebrało mi się na wymioty. Teraz rzygowiny stoją mi w gardle, a ja wiem, że to od tego, w jaki sposób, monologując, patrzyłem Clarze w twarz.

- Chodź, pomogę ci - mówi.

Okraża stół i podpierając mnie, prowadzi do łazienki. Obrzyguję całą wannę. Oczyszczenie odpływu będzie ją kosztowało sporo trudu.